Rok III. **Czerwiec 1918.** **Nr. 6.**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BÁLASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 24 kor., za półrocze kor. 12. — Cena numeru pojedynczego 2 kor. 50 hal. (2 marki 50 fen.).— Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Czerwiec 1918. **ROK POLSKI** Rok III. Nr. 6.

Polityka symboli i drobnych zdobyczy.

Społeczeństwo polskie we wszystkich dzielnicach zajęło życzliwe stanowisko wobec instytucyi, które do przelotnego życia powołała wojna na terenie Królestwa Kongresowego. Nie można było w tem widzieć rozwiązania sprawy polskiej, bo choćby te instytucye jakościowo miały najszerszy zakres działania, pod względem ilościowym dotyczyły jednego tylko, i to nie całego zaboru, obejmowały tylko część ziem, które pragną zjednoczenia. Ale ostatecznie rozwój samodzielności jednej dzielnicy przygotowywał ją do tego, by z większem doświadczeniem mogła ona wejść w skład przyszłej, większej całości. Zresztą ta budowa państwowych urządzeń mogła przynieść niektóre trwałe zdobycze, mogła ułatwić organizacyę przyszłej zjednoczonej Polski. To też żywioły, które na chwilę nawet nie rezygnują z zasady, że sprawa polska jest sprawą międzynarodową, i że załatwić ją może tylko zjednoczenie wszystkich ziem w niepodległe państwo z własnym dostępem do morza, uznawały racyonalność pracy państwowej w ciaśniejszym zakresie i gotowe były tej pracy udzielić swojego poparcia.

Rzecz jasna, że ani w Radzie Regencyjnej nie można było widzieć istotnej władzy zwierzchniczej, ani też w gabinecie warszawskim rządu w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Ktoby chciał coś podobnego twierdzić, narażałby się na śmieszność, wywołaną przez jaskrawe przeciwieństwo jego poglądów z politycznym stanem rzeczy. Śmiesznem też było tworzenie pozorów władzy, któreby miały zakryć przykrą rzeczywistość. I w tych instytucyach nie można było widzieć niczego więcej, nad zapowiedź tego, co się ma stać dopiero, nad przygotowanie przyszłej państwowej

organizacyi. Zgodnie z tem chciano widzieć w Radzie Regencyjnej symbol państwowości polskiej, wyraz niezłomnej woli narodu do własnego bytu. Takie pojmowanie godziło się zupełnie z zakresem działania, a raczej z brakiem pozytywnego zakresu działania Rady Regencyjnej. Symbole zwykle są dalekie od rzeczywistości, wyrażają pewien uczuciowy nastrój, pewne pragnienie, które nie znajduje swojego bezpośredniego urzeczywistnienia w faktach codziennego życia. Takie symbole mogą mieć dużą doniosłość w politycznem życiu narodu, ale tylko pod warunkiem, że nie wypadną ze swojej roli, że zostaną tylko symbolami. Niestety, inaczej się stało z owym symbolem polskiej państwowości. Zbyt szybko zapragnął on zejść z swego wysokiego piedestału na zawodny poziom bezpośrednich działań politycznych. Gdy nieoczekiwanie te symbole znalazły się na berlińskim bruku, prysł urok, który je dotychczas otaczał. Reprezentacya naszych dążeń narodowych zeszła do roli, w najlepszym razie, wykrętnego dyplomaty, który pochlebstwem chce osiągnąć sukces polityczny. Cała ta podróż na nic się nie zdała. Przyszedł pokój brzeski i przyniósł oderwanie Chełmszczyzny. Rada Regencyjna godnym protestem, odwołaniem się do woli narodu, wzniosła się znów wysoko w opinii publicznej po to, by w parę tygodni potem aprobować żebraninę polityczną, podjętą przez jednostki w rodzaju hr. Ronikiera. Tak więc to, co miało być symbolem niewzruszonych naszych pragnień, przedstawia obraz dziwnie zygzakowatej linii politycznej, jakiejś nerwowej, odruchowej roboty, która najzupełniej nie godzi się z majestatem przyszłego państwa polskiego. Najlepsza wola i najszlachetniejsze zapędy nie zastąpią braku politycznej oryentacyi i na nic się nie zdadzą, jeżeli społeczeństwo traktuje się jak dziecko, które można uspokoić patryotycznymi frazesami.

Symbole zawiodły, trzeba było poszukać innego uzasadnienia dla polityki, która chce uzyskać to, co tylko się da w obecnych warunkach uzyskać dla sprawy polskiej. Wysunięto argument, że trzeba korzystać z każdego realnego, choćby drobnego ustępstwa, byle budować lub znosić materyał do budowy przyszłego państwa polskiego. Społeczeństwo nasze w Królestwie Kongresowem znajduje się w tak trudnych warunkach, że nie może lekceważyć żadnego ustępstwa, które złagodzi jego ciężki los ekonomiczny, zaprawi je do normalnego życia politycznego, wniesie silniejszą spójność w jego duchowe wiązania. Tak więc, nie przesądzając

ostatecznego wyniku sprawy polskiej, trzeba opanować co tylko się da, wznosić systematycznie organizacyę państwa, nie zrażając się żadnemi przeciwieństwami i trudnościami.

Argumentacya ta jest zasadniczo słuszna. Nigdy nie można lekceważyć nawet drobnych zdobyczy. Ale chodzi o to, za jaką cenę się je uzyskuje. Chodzi o to, jakich ofiar od nas wymaga ta polityka, co my ofiarujemy wzamian za drobne ustępstwa. I odrazu wystąpi zasadniczy błąd, który tkwi u podstaw tej idei ugodowej. Oto istnieje ogromna niewspółmierność między tem, co się daje, a tem, co się dostaje, a nawet tem, co się wogóle chce dostać. Politycy nasi w Królestwie Kongresowem są w szczególnie trudnem położeniu. W najlepszym razie mogą wywalczyć zdobycze dla jednej dzielnicy Polski; ale może to nastąpić za cenę aktów politycznych, które mają zasadnicze znaczenie dla całości polskiej sprawy. A więc poprostu mamy tu wymianę dzielnicowych swobód za ogólnonarodową rezygnacyę! Że tej wymiany dokonywać nie wolno, że tego rodzaju działalność polityczna graniczy z zaprzaństwem, co do tego niema wątpliwości nikt, w kim tylko żyje polskie sumienie. A przecież taka rezygnacyjna polityka krzywdzi także i ziemie byłego rosyjskiego panowania, które tylko w połączeniu z resztą Polski mogą dojść do pełnej wartości. A nadto łączy się ona z niebezpieczeństwem dla niepodległości przyszłego państwa polskiego, choćby w najciaśniejszych zamkniętego granicach.

A więc polityka realnych, stopniowych zdobyczy nie może od nas wymagać aktów, któreby szkodziły sprawie zjednoczenia i niepodległości. Ta idea ma dla nas tak absolutną wagę, że nie wolno nam nawet na chwilę czynić z niej ofiar. Przeciwnie, poświęcić trzeba wszystko, jeżeli tego ta idea wymaga. Poświęcić trzeba także... realne zdobycze.

Niestety, znaleźli się u nas politycy, dla których program zjednoczenia i niepodległości był czczem marzeniem, był czemś, co trzeba ukryć głęboko w sercu lub głosić gdzieś daleko, za granicą, ale czego trzeba się wyprzeć w kraju, gdyż inaczej nie można prowadzić realnej polityki. Wielokrotnie się tego programu wyparto. Po raz ostatni w sposób najbardziej jaskrawy, w „zawiadomieniu“ rządu polskiego w odpowiedzi na uchwały wersalskie. Jaka za to spotkała nagroda tych polityków? Jakie ustępstwa przynieśli oni dla kraju? Czy stworzyli oni atmosferę bardziej

przychylną dla ich ugodowej polityki? Czy żywszem tętnem zaczęła bić praca nad przejmowaniem funkcyi państwowych przez polskie czynniki? Tego wszystkiego nie widać. Wszelkie oświadczenia, podróże, misye, wystąpienia różnych aktywnych polityków polskich, mniej lub więcej oficyalnych przedstawicieli rządu warszawskiego, przypominają rozmowę dziadka z obrazem — z tą chyba tylko różnicą, że ów legendarny obraz nie mówił dziadkowi impertynencyi. A tymczasem w kraju wszystko po staremu. Okupacya trwa w dalszym ciągu. Społeczeństwo przygniata coraz większy ciężar rekwizycyi. Życie polityczne i społeczne skrępowane. Nie można nawet marzyć o odbudowie przemysłu. Szerzy się apatya, którą tylko pogłębiają wciąż fałszywe pogłoski o objęciu administracyi przez rodzime żywioły. Mogą nastąpić jakieś drobne zmiany, ale jasnem jest, że społeczeństwo polskie dopóty, dopóki będzie zostawało pod władzą okupacyi, nie odzyska swobody ruchów, nie zacznie żyć naprawdę własnem życiem. Tak więc argumentccya ugodowa, która chce uzyskiwać realne zdobycze, nie może się niemi wykazać;

Ludzie, którzy prowadzą politykę kompromisów, przyznając bezskuteczność dotychczasowych wysiłków, bronią się tym argumentem, że wszystko trzeba poświęcić, by ochronić społeczeństwo przed anarchią, by je skonsolidować, by skupić je wokół zawiązków własnej państwowości. Istotnie dzisiaj głównem naszem wewnętrznem zadaniem jest konsolidacya społeczeństwa. Nie trzeba przesadzać rozmiarów niebezpieczeństwa, które idzie ze wschodu, ale trzeba pamiętać, że sama długotrwała wojna jest źródłem anarchii i rozkładu. Jest rzeczą konieczną, by nasz naród z tej dziejowej powodzi wyniósł ile możności nienaruszony swój duchowy i materyalny dobytek. Żyjemy w okresie, w którym rozpadają się dawne formy życia państwowego, a nowe jeszcze nie zdążyły powstać. Biada narodom, w których w takiej chwili wezmą górę odśrodkowe dążności, których jedność wewnętrzna złamie się pod naporem społecznych antagonizmów. W takim przełomowym momencie wewnętrzne skupienie się społeczeństwa jest warunkiem jego przyszłego rozwoju, a nawet normalnego bytu.

Otóż było u nas wielu, którzy oparcia przeciw tym niebezpieczeństwom szukali w jak najszybszem wznoszeniu instytucyi

państwowych. Jest w tem duża racya, ale wszystko zależy od tego, w jaki sposób i w jakim stopniu społeczeństwo weźmie w swoje ręce te instytucye. Najpierw nie wystarczą same symbole życia państwowego. Zadowolnić się symbolami mogą tylko jednostki, których ambicya nie sięga poza formy władzy i poza honory jej oddawane. Dla ogółu to nie wystarczy, co więcej, istnienie symbolu, zapowiedzi tego co kiedyś się stanie, obok szarej ciężkiej rzeczywistości, która wszystkim dotkliwie daje się we znaki, raczej działa w sposób destrukcyjny, raczej rozdrażnia społeczeństwo, zamiast je skupiać i jednoczyć. Czynnikiem konsolidacyi może być tylko przejęcie całej władzy państwowej, choćby z pewnemi ograniczeniami, wskazanemi przez stan wojenny. Dopiero wtedy, gdyby polska państwowość objęła główne dziedziny życia, gdyby ingerencya obcych czynników była ograniczona do minimum, dopiero wtedy mogłyby polskie państwowe instytucye stać się czynnikiem trwałej jedności społecznej i mogłyby zbudować tamę przeciw zalewowi anarchii. Ale jeżeli budowa państwowej organizacyi postępuje wolno, jeżeli buduje się ją od góry, zamiast równocześnie budować i od dołu, wpierw się stwarza formy, a potem dopiero oczekuje na treść, która je ma wypełnić, to tego rodzaju działalność nie spełni swego zadania jako czynnik narodowej i społecznej konsolidacyi. Drobne, realne zdobycze mogą być cenne same w sobie — nie opanują one jednak niebezpieczeństwa anarchii, bo są zbyt nikłe. Co więcej, polityka obca może z dualizmu władz zrobić narzędzie społecznego rozkładu i podniecać antagonizmy społeczne. Można umiejętnie wśród ciemnych warstw ludności szerzyć przekonanie, że za wszystkie dolegliwości wojny ponoszą odpowiedzialność polskie władze, które w istocie są bezsilne i bezwładne. W ten sposób odium stanu wojennego spada na niektóre miejscowe czynniki, ze społeczeństwa wyrosłe. I ludzie, którzy obawiają się anarchii i przewrotowych dążeń będą z konieczności wyciągali rękę po pomoc obcą i od obcej opieki będą zależni; a zaś nieodpowiedzialna demagogia zwróci swą agitacyę po linii najmniejszego oporu, skierują ją przeciw niektórym warstwom społecznym. Jest to stara metoda rządzenia, by poróżnić z sobą przedtem zgodne warstwy społeczne, bo wtedy tanim kosztem można utrzymać władzę w kraju. Nie potrzebujemy się daleko rozglądać, by znaleść nowe zastosowanie tej zasady. Gorzej jest,

że nie zdają sobie z tego sprawy ci, którzy są biernem narzędziem tej polityki.

Społeczeństwo skupiłoby się ostatecznie wokoło prowizorycznych przedstawicieli polskich państwowych instytucyi, gdyby czuło, że oni tylko o to dbają, by stać na straży narodowych ideałów i chronić kraj przed coraz większym uciskiem. Wszelka władza z narodu pochodzi i tylko ta władza skupi naród przy sobie, która wyraża jego nadzieje, pragnienia, która strzeże narodowej godności,

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby ten wewnętrzny konflikt pozostał tylko politycznym konfliktem.

Ale zjawia się tu inne, bardzo poważne niebezpieczeństwo. O ile w pierwszych latach wojny dzieliły nas tylko „oryentacye“ polityczne, to obecnie wewnętrzne antagonizmy nabierają społecznego zabarwienia. W początkach wojny przedstawicielami aktywizmu w Królestwie Kongresowem były raczej radykalne żywioły; obecnie, od czasów rewolucyi rosyjskiej, coraz silniej do tego kierunku lgnie arystokracya rodowa i bogatsze ziemiaństwo. Nie jesteśmy tego zdania, by jakiejkolwiek warstwie społecznej odmawiać prawa do przewodniej roli w narodzie, by wogóle odsuwać ją od życia politycznego. Ale naszem zdaniem źle jest, gdy niepopularną, karkołomną nawet politykę biorą na siebie żywioły, pochodzące prawie wyłącznie z jednej warstwy społecznej. Źle jest wtedy dla narodu, a już bardzo źle może być dla tejże warstwy. Tembardziej, że ona zbyt silnie chce się oprzeć na obcej pomocy, a nierozumiejąc wymagań obecnej doby, zabezpieczyć dla siebie w sposób sztuczny stanowczy głos w rządzie. Minął już kres polityki rodowej i polityki królewiąt. Konsolidacyę narodową przyniesie tylko polityka, która wszystkich powoła do władzy.

Zanim to się stać może, nie wolno nielicznej grupie społecznej uprzedzać wydarzeń, nie wolno jej w imieniu narodu przemawiać tam, gdzie może ona tylko we własnem mówić imieniu. Jest to bardzo poważne niebezpieczeństwo, przed którem trzeba jak najmocniej przestrzedz. W ten sposób nie uchroni się społeczeństwa przed bolszewizmem, a tylko wewnątrz niego wyhoduje bolszewizm. Ta polityczna metoda może mieć straszne skutki, może nas unieść w odmęt najgorszej walki klasowej w chwili, gdy nasze położenie polityczne będzie wymagało odłożenia do lepszych czascw wszelkich walk społecznych. Niechaj nad tem pomyślą ci, którzy nerwowo chwytają za władzę, nie wiedząc, że tej władzy w swe ręce nie chwycą, a tylko rozbudzą społeczne zawiści!

Allos.

Konkordat czy rozdział.

Do najważniejszych zagadnień praktycznych, jakie kraj nasz będzie miał w krótkim czasie do rozwiązania, należy niewątpliwie sprawa stosunku Kościoła do państwa. Rozwiązanie jej nastąpi na zasadzie porozumienia między Stolicą Apostolską a Rządem Polskim, że jednak ten ostatni w naszych czasach demokratycznych wyjdzie ze społeczeństwa i w wielkim stopniu z niego czerpać będzie swą powagę, konieczną jest przeto rzeczą, aby całe społeczeństwo miało w tej sprawie pojęcia jaśniejsze i dokładniejsze niż te, które dziś wśród nas kursują.

W samej rzeczy gdy się zatrzymać nad tem, co w ostatnich czasach gazety o stosunku Kościoła do państwa w przyszłej Polsce mimochodem piszą (*ex professo* o ile mi wiadomo, nie zajął się dotąd tą sprawą nikt) łatwo się przekonać, że ci nieliczni, którzy uświadamiają sobie doniosłość tego tak ważnego zagadnienia, widzą jedno tylko jego rozwiązanie, a mianowicie przez konkordat. Konkordat w ich oczach jest tem, co ma Kościołowi w Polsce przywrócić jego żywotność tak poważnie zagrożoną przez ucisk rosyjski; są oni przekonani, że i Kościół widzi w niem teoretycznie i praktycznie najlepsze ujęcie swych stosunków do państwa, słowem, że jest to najbardziej katolickie rozwiązanie sprawy.

Zapewne, że konkordaty oddały w ciągu XIX w. Kościołowi i państwu ogromne usługi; po wstrząśnieniu spowodowanem przez Rewolucyę francuską one pozwoliły napowrót obu czynnikom życia społecznego wejść z sobą w kontakt i rozpocząć znowu współpracę, która zdawała się przez chwilę na zawsze uniemożliwiona. Ale nie należy tracić z oczu, że miały one i dużo złych i bardzo uciążliwych dla Kościoła stron, że były formą przejściową, wywo-

łaną przemijającymi warunkami społecznymi tych czasów, formą wcale nie doskonałą, bardzo odbiegającą od idealnego stosunku Kościoła i państwa i że przeto, teoretycznie rzecz biorąc, katolickiem rozwiązaniem zagadnienia nie są. Nie należy również zapominać, że ten sam XIX wiek widział inne też próby ułożenia stosunku Kościoła do państwa, mianowicie rozdział, i że rozwiązanie to aczkolwiek w teoryi też nie odpowiadające idealnym postulatom nauki katolickiej, miało jednak w praktyce obok złych dużo dobrych stron dla wzajemnego pożycia obu instytucyi społecznych.

Byłoby więc z naszej strony dobrowolnem zacieśnianiem sobie horyzontu, gdybyśmy *a priori* skłonili się do jednego rozwiązania, nie zbadawszy drugiego i nie przekonawszy się, które z nich bardziej odpowiada konkretnym warunkom, w jakich się znajdujemy. Niniejszy artykuł nie ma zamiaru merytorycznie zagadnienia rozstrzygać, a raczej postawić je w bardziej wyrazistej formie i przez to wywołać nad niem dyskusyę.

Życie moralne, a tembardziej polityczne ma to do siebie, że ogólne zasady naszego postępowania, zdobyte drogą abstrakcyi, z obserwacyi moralnej działalności człowieka, nie pokrywają się doskonale z tą działalnością, że zawsze istnieje między niemi pewien rozdźwięk, gdyż abstrakcya nie jest w stanie wyczerpać pełni konkretnego życia. Stąd pochodzi, że nieraz teoretycznie bardzo prawidłowe zasady nie dadzą się całkowicie zastosować w praktyce, mogą się bowiem znaleźć w życiu takie czynniki, które się do nich nie dadzą sprowadzić, a których usunięcie z życia okaże się niemożliwem. Natomiast zasady teoretycznie mniej uzasadnione, mogą właśnie z racyi tych czynników dużo bardziej nadawać się do praktycznego zastosowania i wydać przez to dużo lepsze rezultaty.

Z powyższej obserwacyi możnaby wysnuć pewne prawo życia moralnego, któreby należało nazwać prawem względności stosunków ludzkich. Młode umysły, których cechą jest prostolinijność, nie są w stanie prawa tego zrozumieć; zrozumieć je jest cechą dojrzałego wieku. Niestety do tej dojrzałości wielu nigdy nie dochodzi i tych nazywamy doktrynerami.

Bardzo ciekawą ilustracyą do prawa względności stosunków ludzkich jest właśnie zagadnienie o stosunku Kościoła i państwa.

Idealnem jego rozwiązaniem jest ścisłe zjednoczenie obu

czynników przy zachowaniu własnej odrębności. Państwo opiera swą siłę moralną na nauce Kościoła i otacza go opieką swej władzy — Kościół opiera się na państwie i daje sankcyę moralną jego prawom i działalności. Kościół piętnuje wykroczenia przeciw państwu, jako zło moralne; państwo ze swej strony karze wykroczenia przeciw Kościołowi i odstępstwo od niego, jako zło społeczne, podkopujące jego własną powagę. Oczywiście, że takim stosunkiem państwo może być związane z jednem tylko społeczeństwem religijnem; musi ono wykluczać tem samem wszystkie inne wyznania, tolerując wyznawców innych wyznań tylko jako obcokrajowców.

Takie stosunki panowały w Europie, gdy po kilku wiekach pracy Kościół zdołał wychować w kulturze chrześcijańskiej młode ludy, które wędrówka narodów przesunęła na zachód i południe. I średnie wieki pełne są tarć między władzą świecką a duchowną, ale zasada zjednoczenia obu instytucyi jest ogólnie przyjęta i nigdy, można powiedzieć, nie była ona bliższa urzeczywistnienia, jak w tym okresie dziejów.

Reformacya jedność tę zerwała. Nie przyszło to łatwo, bo przekonanie o konieczności oparcia życia społecznego na prawdach wiary głęboko było zakorzenione w umysłach ludzkich; tem się tłumaczy nietolerancya większości reformatorów, którym śmiesznem jest podsuwać dzisiejsze hasła wolności sumienia; tem się tłumaczy straszna formuła pokoju Westfalskiego *„cuius regio eius religio“* będąca ostatnim wysiłkiem, aby napowrót zerwane ogniwa nawiązać. Daremne były to wysiłki; raz zerwanej łączności z jednym kościołem, wychowawcą wszystkich społeczeństw europejskich, nie dało się już sztucznie nawiązać z poszczególnemi społeczeństwami religijnemi, wyrosłemi z tego zaczynu indywidualizmu, który Reformacya na świat przyniosła. Dwie te tendencye były ze sobą zbyt sprzeczne, aby się mogły utrzymać; w rezultacie indywidualizm musiał zwyciężyć, ale na to trzeba było z górą dwóch wieków.

Wobec tych niefortunnych prób, czynionych w czasach po Reformacyi, aby odbudować ścisłą łączność między kościołem a państwem, wolność sumienia ogłoszona przez Rewolucyę była koniecznością i w stosunku do rozwiązania, jakie przyniósł pokój Westfalski, była ona niewątpliwie postępem. Ale teraz powstawało zagadnienie, jak unormować między sobą współżycie tych dwóch instytucyi, obejmujących w ogromnej większości tych samych

członków, i stykających się z sobą w tylu dziedzinach. Napoleon zrozumiał, że stan walki, jaki rewolucya wywołała, jest zbyt wyczerpujący dla społeczeństwa, że ono na gwałt potrzebuje uspokojenia i nawet pewnego moralnego poparcia czynników religijnych i oto z jego natchnienia powstał pierwszy nowożytny konkordat 1801 roku, który stał się niejako wzorem dla całego szeregu innych.

Nazwaliśmy go pierwszym nowożytnym, boć i przed rewolucyą Kościół zawierał z państwami konkordaty, ale różniły się one od tych, które wypełniają dzieje Kościoła w XIX w., bardzo zasadniczo. Najpierw zauważyć należy, że przed 1801 rokiem zaledwie kilkanaście ich można naliczyć, poczynając od pierwszego, zawartego z Niemcami w 1448 roku; tymczasem XIX wiek widział ich przeszło 30. To jedno już wskazuje, jak wielkie znaczenie w dziejach politycznych Europy XIX wieku zajmuje ta nowa próba prawnego określenia stosunku Kościoła do państwa. Ale to są tylko różnice zewnętrzne; ważniejsze są wewnętrzne.

Podczas gdy konkordaty przedrewolucyjne zajmowały się określeniem różnych poszczególnych punktów życia kościelnego, w których Kościół przyznawał państwu pewne prawa, a nie dotykały nigdy ogólnego stanowiska Kościoła w państwie, bo ten był samem nadprzyrodzonem pochodzeniem Kościoła określony, to konkordaty nowożytne zawsze w pierwszym punkcie zawierają prawne określenie stanowiska, jakie zostaje w danem państwie przyznane Kościołowi.

Uzasadnienia i sformułowania tego stanowiska bywały dość różne. Konkordat Napoleoński, a na nim wzorował się w r. 1860 konkordat Rzeczpospolitej Haiti, opiera się tylko na fakcie, że religia katolicka jest wyznaniem ogromnej większości Francuzów, i z tego tytułu przyznaje jej szczególne stanowisko i opiekę państwa. Tam, gdzie Rewolucya bezpośrednio nie zerwała stosunku Kościoła z państwem, mamy teoretycznie lepsze sformułowanie ich wzajemnego stosunku. Prawo Kościoła do opieki państwa opiera się tam nie na fakcie przynależności doń większej czy mniejszej ilości jednostek, ale bardziej na jego własnej naturze i pochodzeniu. Konkordat Bawarski (1817) i Austryacki (1855) wyraźnie gwarantują Kościołowi te wszystkie prawa i prerogatwy, które mu się należą z ustanowienia Bożego i kanonicznych ustaw; konkordaty małych republik środkowej Ameryki, idąc za wzorem kon-

kordatu włoskiego (1803), nazywają katolicyzm religią państwa. Najdalej idą konkordaty obojga Sycylii (1818) i Equadoru (1862 i 1881), które nazywają katolicyzm jedyną religią państwa i nawet, jak ten ostatni, obowiązują się żadnego innego wyznania, potępionego przez Kościoł, nie tolerować. Nie uchroniło to, jak wiadomo, katolicyzmu w Equadorze od bardzo silnych prześladowań w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Pomimo jednak tak daleko idących różnic w określeniu stanowiska Kościoła w państwie, wszystkie te konkordaty mają to wspólnego, że wogóle określają to, co z samej natury rzeczy jest dostatecznie określone; to jest właśnie ich słabą stroną, która sprawia, że są one tak dalekie od ideału, jakim jest zjednoczenie Kościoła i państwa. Stosunek ten uzasadniają czynnikami drugorzędnymi i choć go ujmują nieraz w piękne i szumne formuły i zapewnienia, pomijają jednak racye istotne. Gdyby te ostatnie wysunęły na pierwszy plan, to cała ich racya bytu z konieczności by się rozwiała i Kościół musiałby być uznanym za jedyną instytucyę religijną, nie depuszczającą żadnego współzawodnictwa i mającą prawo żądać usług państwa z racyi swego Boskiego pochodzenia.

Naturalnie, że takie postawienie sprawy było w początku XIX wieku nie do pomyślenia i trudno nawet dziś sobie zdać sprawę, czy przyjdą czasy, kiedy ono znowu stanie się możliwem. Było to więc dowodem tej wielkiej nadprzyrodzonej roztropności ze strony Kościoła, tej roztropności, którą się nieraz gorszą w postępowaniu Stolicy Apostolskiej ludzie o krótkim wzroku historycznym, że nie nastawał na idealne związanie ponownie Kościoła z państwem, nie dające się w danych warunkach urzeczywistnić, a zadowolnił się rozwiązaniem teoretycznie mniej prawidłowem, ale dającem Kościołowi możność wypełniać swe posłannictwo. Napoleon i po nim wielu innych rządców państw dalecy byli od tego, aby ocenić całą doniosłość nadprzyrodzonej działalności Kościoła, ale roztropność polityczna im wskazywała, że z tak starą i silną instytucyą nie sposób wciąż walczyć, że wpływ jej moralny przedstawia dla życia społecznego bezsprzeczną wartość i że trzeba jej z tego względu wyznaczyć określone miejsce w organiźmie państwowym. Kościół zaś chętnie stawał na tej czysto przyrodzonej platformie, dawała mu ona bowiem możność, częściowo przynaj-

mniej odzyskać dawną swobodę ruchów i choć nie bez skrępowania szerzyć swe nadprzyrodzone wpływy.

Że skrępowanie to będzie nieraz bardzo uciążliwe, z tego zdawano sobie w Rzymie doskonale sprawę; Artykuły organiczne, jednostronnie dodane przez Napoleona do jego układu z Rzymem w 1801 roku były najlepszem ostrzeżeniem, aby konkordatom zbyt nie ufać. Różne teorye, powstałe jeszcze w poprzednich wiekach, w sprawie przewagi władzy świeckiej nad kościelną (Gallikanizm, Febronjanizm, Jozefinizm) znalazły dzięki konkordatom doskonałą okazyę do wywierania swych wpływów, i jeśli w teoryi mniej już o nich w XIX wieku dyskutowano, to w praktyce szerzyły się one i szerzą do dziś dnia w dużo większym stopniu, niż sobie z tego zdajemy sprawę. Teoretyczne odchylenie się od właściwego ujęcia stosunku Kościoła do państwa pociągało za sobą daleko idące praktyczne konsekwencye. Z chwilą, gdy państwo oparło stanowisko Kościoła wyłącznie na jego pożyteczności społecznej, samo ono chciało zostać sędzią tego, jakie mają być granice tej pożyteczności i całej jego działalności. Za cenę udzielonej opieki arogowało ono sobie prawa wtrącania się do wewnętrznego życia Kościoła, nieraz utrudniając mu w różnych punktach jego działalność i rozwój, w szczególności zaś jego misyę nadprzyrodzoną względem dusz; że wymienimy tylko sprawy szkolne, prawodawstwo małżeńskie, sprawę dóbr kościelnych i t. p. W wielu krajach Kościół jest jakby małoletnim, którego opiekunem jest państwo.

Nic więc dziwnego, że to konkordatowe rozwiązanie stosunku Kościoła do państwa nie mogło umysłów zadowolnić, że warunki, stworzone Kościołowi przez konkordat, nieraz bywały silnie krytykowane, i że jednocześnie szukano, we Francyi niemal od pierwszych lat XIX wieku, innego, lepszego uregulowania tej tak doniosłej sprawy. Zachętą do tego mógł być przykład Ameryki Północnej, gdzie Kościół pozbawiony wszelkich przywilejów i opieki państwa, ale obdarzony natomiast całkowitą wolnością ruchów, zaczął się coraz lepiej rozwijać. Nim jednak rezultaty wolności Kościoła w Ameryce stały się tak widoczne, jakimi są dziś dla nas, uczyniono już pod wpływem wolnościowych haseł XIX wieku i w Europie próbę innego, nie konkordatowago uregulowania wzajemnego stosunku obu instytucyi. Próbę tę podjęła Belgia po powstaniu 1830 roku, t. j. w trzydzieści lat po zawarciu pierwszego nowożytnego konkordatu.

Nigdy może społeczeństwo ludzkie nie było tak przejęte potrzebą dania zarówno jednostkom jak i wszelkiego rodzaju zrzeszeniom prawdziwej i szczerej wolności, jak naród belgijski nazajutrz po oderwaniu się od Holandyi. Większość katolicka Kongresu bez trudności zgodziła się na zupełną swobodę wyznań, ale tej samej swobody zażądała w całej pełni i dla Kościoła katolickiego, pragnąc oprzeć jego stanowisko nie na przywilejach, ale na tej wspólnej podstawie wolności obywatelskich. Do konkordatów słusznie mogli być Belgowie uprzedzeni; oto bowiem zaledwie trzy lata mijało, jak w 1827 roku rząd holenderski zawarł był układ w sprawie stosunków kościelnych ze Stolicą Apostolską, zaś w parę miesięcy potem, minister spraw wewnętrznych Van Gobbelschroy tajnym cyrkularzem, który wnet stał się publicznie znanym, zawiadomił gubernatorów poszczególnych prowincyi, że rząd wcale nie myśli się do układu stosować.

Widząc, jak kruchą podstawą dla Kościoła jest takie na pozór uprzywilejowane osobnym układem stanowisko, członkowie kongresu zapragnęli inaczej stosunki kościelne w swym kraju ułożyć. Doszli oni do przekonania, że pewniejszem oparciem dla niego będą silnie ugruntowane w konstytucyi zasady wolności obywatelskiej, pozwalające każdej jednostce w granicach porządku publicznego na swobodny rozwój wszystkich swych aspiracyi, a więc i na zrzeszanie się z innemi w celach, jakie uzna za stosowne. Na te zasady nikt się lekkomyślnie nie targnie, gdyż podkopywałby tem jednocześnie i podstawy własnej wolności.

W ten sposób pojawiła się po raz pierwszy w Europie nowa forma prawnego ułożenia stosunku Kościoła do państwa, zwana rozdziałem. Stolica Apostolska ją zaakceptowała, podobnie jak i konkordaty, nie dla jej zalet teoretycznych, bo tych nie posiada, ale dlatego, że była przekonana, iż w danych warunkach może być dla Kościoła dobrą podstawą rozwoju.

Podobnie jak i konkordat nie jest czemś jednolitem, ale obejmuje różne sposoby obustronnego uregulowania stosunku Kościoła do państwa, tak pod nazwą rozdziału kryją się różne formy prawne, nieraz bardzo do siebie niepodobne. Forma belgijska, będąca tworem społeczeństwa katolickiego, jest dla Kościoła bardzo przychylna; nietylko zapewnia mu tak jak każdemu zrzeszeniu całkowitą swobodę rozwoju, ale nawet go pozytywnie popiera, na równi zresztą z każdem innem wyznaniem, które się ukonsty-

tuuje w formie gminy religijnej. Sprzecznością na pozór z ideą rozdziału jest utrzymywanie przedstawicielstwa dyplomatycznego przy Watykanie, ale to tłumaczy się tem, że Belgia nawet po 1870 widzi w Papieżu władcę świeckiego i jako z takim utrzymuje stosunki dyplomatyczne.

Zupełnie inny charakter przybrała próba rozdziału, której byliśmy świadkami we Francyi, na początku bieżącego stulecia. Wychodząc z łona większości parlamentarnej, wyraźnie wrogo dla Kościoła usposobionej, nietylko nie miała mu dawać żadnego poparcia, ale chciała narzucić pewne formy społeczne, zupełnie nie dające się pogodzić z jego odwiecznym ustrojem. Stanowcza postawa Stolicy Apostolskiej i katolików francuskich podobnego rozdziału nie przyjęła; Kościół zachował nietkniętym swój ustrój wewnętrzny, a choć ze strony państwa spotkał się z bardzo systematycznym uciskiem, potrafił jednak tę pewną swobodę ruchów, jaką mu zerwanie konkordatu dało, na swą korzyść wyzyskać.

Stanowisko Kościoła w Stanach Zjednoczonych zajmuje pośrednie miejsce między temi dwiema formami rozdziału, nie jest ono wcale wrogie jak we Francyi, ale i nie daje Kościołowi tak pozytywnego poparcia, jak w Belgii; Kościół ma jednak w Stanach Zjednoczonych całkowitą swobodę ruchów i potężny jego rozwój w XIX w. jest ślicznym przykładem tego, jak umiał on z tej swobody skorzystać.

Gdybyśmy chcieli teraz porównać te dwa nowożytne sposoby uregulowania stosunku Kościoła do państwa, należałoby odróżnić punkt widzenia teoretyczny i praktyczny.

Z punktu widzenia teoretycznego oba rozwiązania są nieprawidłowe, i dalekie od tego, aby odpowiadać idealnemu stosunkowi, jaki winien dwie tak doniosłe instytucye łączyć. Może być jednak, że pod tym względem rozwiązanie konkordatowe jest prawidłowsze, że bardziej zbliża się do ideału, jakiem jest zjednoczenie Kościoła z państwem. W samej rzeczy w sformułowaniu konkordatu można w mniejszym czy większym stopniu uwydatnić boskie pochodzenie i nadprzyrodzony charakter Kościoła i z niej jako z istotnego źródła, wyprowadzić uprzywilejowane stanowisko Kościoła w państwie. Przy rozdziale nic podobnego nie jest możliwem; państwo oświadcza się niekompetentnem do rozpoznania prawdziwej religii, co biorąc rzecz teoretycznie, jest naturalnie stanowiskiem zupełnie błędnem.

Droga rozdziału, ma oprócz tego przeciw sobie kilka potępień ze strony Kościoła, potępień wywołanych tem, że nieraz chciano ją podnieść do godności zasady i uczynić z niej teoretycznie najlepsze rozwiązanie. Na taką doktrynę Kościół nie mógł się zgodzić. Potępił on tedy zarówno naturalistyczne tendencye tych wszystkich, którzy, odrzucając wszelką religię i porządek nadprzyrodzony, chcieliby je wykluczyć z życia społecznego i dlatego żądają rozdziału Kościoła od państwa [1]), jak i tych, którzy przyznając doniosłość religii dla życia pojedynczych ludzi, sądzą, że w życiu państwa nie można się z nią rachować, że państwo z zasady musi być bezwyznaniowe. Z temi ostatniemi tendencyami liberalizmu politycznego rozprawie się magistralnie Leon XIII w swej encyklice *Immortale Dei*, w której wykazuje nielogiczność podobnego stanowiska.

Poza tem nawet i w obozie katolickim w XIX wieku były co do rozdziału niektóre błędne poglądy, które aczkolwiek nie potępione wprost przez Kościół, nie dadzą się pogodzić z jego zasadniczem stanowiskiem. Polegały one na tem, że aczkolwiek w zasadzie uznawano, że rozdział jest czemś nieprawidłowem, w praktyce jednak chciano go widzieć wszędzie głosząc, że jest on w dzisiejszych warunkach jedyną formą korzystną dla Kościoła; łączyły się z tem silne uprzedzenia do konkordatów i do tej pewnej ustępliwości, jaką Stolica Apostolska nieraz zmuszona jest rządom okazywać przy zawieraniu układów. Najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku, zwanego liberalizmem katolickim, był Montalembert, którego hasłem było: „Wolny Kościół w wolnem państwie“. Błędnem w tym stanowisku jest najpierw to, że z samej zasady łączności Kościoła z państwem się rezygnuje i robi z niej właściwie utopię, skoro się nie uznaje, aby Kościół mógł mieć jakąkolwiek korzyść z utrzymywania stałego stosunku prawnego z państwami; a następnie, że szerzy silne uprzedzenie do tegoż państwa, przedstawiając je jako nieprzejednanego wroga Kościoła, mogącego mu swą opieką tylko szkodę wyrządzić.

Pomimo jednak tych potępień, z któremi rozdział się spotkał ze strony Kościoła, kiedykolwiek chciał się podnieść do godności zasady, nie został on nigdy potępiony jako pewien praktyczny

---

[1]) Syllabus errorum Piusa IX z r. 1864 zawiera cały szereg takich potępień, Hanzinger 1739 do 1755.

; gorszyli się oni układem stosunków kościelnych w Belgii i mieli nadzieję, że skoro tylko katolicy dojdą do władzy, układ ten zmienią. Dyrektywy jednak, które katolicy belgijscy otrzymywali z Rzymu, były wprost przeciwne: Leon XIII ich zachęcał, aby stali przy pakcie fundamentalnym swej konstytucyi, który zupełną wolność i równość wszystkim wyznaniom zastrzegał.

„Położenie katolicyzmu w Belgii, mówił wielki Papież, po półwiekowem doświadczeniu wykazuje, że w dzisiejszym stanie współczesnego społeczeństwa, system wolności ustanowiony w tym kraju, jest dla Kościoła najkorzystniejszy. Byłoby to więc sprzeciwiać się widokom Stolicy Apostolskiej, gdyby kto chciał potępiać fundamentalny pakt belgijski. Katolicy winni mu się poddać, bez ukrytych zamiarów zmienienia go. Jest to pakt i winien być lojalnie zachowywany; a ponieważ dał Belgii pół wieku pokoju, nie widzę racyi, dla których należałoby dążyć do wprowadzenia w nim zmian albo nawet zmian tych pragnąć“ [1]).

Widzimy tedy, że rozdział jako praktyczny sposób rozwiązania zagadnienia o stanowisku Kościoła w państwie nie jest wcale przez Kościół potępiony, i że przeto wolno katolikom brać go pod uwagę na równi z konkordatem, jako jedną z możliwych form ułożenia stosunków kościelnych w swym kraju. Przy dyskusyach nad tem, która z tych dwóch form jest lepsza, kwestya zasadnicza winna być usunięta na plan drugi, wobec tego, że ani jedno ani drugie rozwiązanie teoretyczne nie jest prawidłowem; odsądzać więc zwolenników tego lub owego rozwiązania od zasad katolickich, może być tylko dowodem zupełnej tych zasad nieznajomości.

Decydującym w tej sprawie musi być punkt widzenia praktyczny. Chcąc sprawę z tego punktu rozważyć, trzeba będzie cały szereg czynników wziąć pod uwagę; przedewszystkiem więc układ samego społeczeństwa, stopień jego religijności zarówno wśród szerokich warstw ludu jak i wśród inteligencyi, która zawsze z konieczności będzie w społeczeństwie kierującą rolę odgrywać, ilość i stanowisko innowierców, stan duchowieństwa, organizacya i uposażenie Kościoła, prawa przezeń posiadane, tradycye i obyczaje

---

[1]) Cytowane u Moulard: L'Eglise et l'Etat, Louvain 1887, str. 374.

narodowe i tyle innych względów, które dopiero z czasem mogą się ujawnić. Dopiero po dokładnem rozważeniu wszystkich tych czynników można będzie dojść do konkretnych konkluzyi, a wobec tak złożonego zagadnienia będą one z konieczności bardzo rozbieżne.

U nas oprócz dwóch stron kontrahujących, Kościoła i naszego społeczeństwa, będzie jeszcze może i trzeci czynnik, który zechce, zależnie od wyniku wojny, swój wpływ i w tej dziedzinie wywrzeć. W miarę, jak będziemy zmuszeni wejść w bliższe stosunki z państwami centralnemi, zechcą one zapewne, abyśmy dla jednolitości przyjęli układ stosunków, który u nich panuje. Nie od rzeczy więc byłoby przyjrzeć się dokładniej tym stosunkom, zobaczyć co w nich jest dobrego, a co złego, cobyśmy mogli z korzyścią dla naszego kraju przyjąć, a co trzeba będzie na własną modłę urządzić. Z drugiej strony poznanie stosunków kościelnych belgijskich, amerykańskich i nawet francuskich mogłoby być też z wielką korzyścią, rozszerzając nasz horyzont w tej tak ważnej sprawie.

Jedno byłoby zgubne, a mianowicie *a priori* przywiązać się do jednego rozwiązania i nie chcieć o innych myśleć. I konkordat i rozdział mają swe dobre i swe złe strony. Konkordat daje Kościołowi ze strony państwa bardzo cenne oparcie, którego lekceważyć nie można, choć nie należy tracić z oczu mniejszego lub większego skrępowania, które zawsze mu towarzyszy. Rozdział daje mu silniejsze od przywilejów oparcie na wolnościach konstytucyjnych, wolność i swobodę ruchów, rzecz niezmiernie cenną, ale, pozbawiając go opieki państwa, może go narazić przynajmniej w pierwszym okresie na bardzo ciężkie przejścia, nim się włoży do samodzielnego organizowania swych sił. Jednocześnie pozostanie zawsze cały szereg spraw wspólnych, które nawet przy rozdziale obchodzić będą obie instytucye i których załatwienie bez ścisłego układu konkordatowego nieraz wielkie może sprawić trudności.

I dla państwa oba rozwiązania mają swe za i przeciw. Konkordat daje mu większą jedność wewnętrzną i możność łatwiejszego załatwiania spraw wspólnych; natomiast naraża go na pokusę zbytniej centralizacyi i mieszanie się do spraw duchownych, co nieraz może silne konflikta w kraju wywołać. Rozdział natomiast uwalnia go od wielu kłopotów i mniej naraża na zohydzanie swej władzy przez mieszanie się do dziedziny, gdzie ludzie najbardziej pragną być samodzielni.

W każdym razie zagadnienie, któreśmy poruszyli, winno już dziś wzbudzić nasze zainteresowanie i wywołać dyskusyę; musimy koniecznie już zawczasu przez ścisłe i bez uprzedzeń przedsięwzięte studya przygotować się do tego, aby, gdy przyjdzie odpowiednia chwila, mieć w tej tak ważnej sprawie, od załatwienia której nasze życie moralne i religijne może na całe wieki będzie zależne, jasne i zupełnie dojrzałe pojęcia.

O. Woıoniecki, O. P.

Na Rusi.

Od początku wojny kraj przeżył już tyle wrażeń i zmian, że chcąc ogólniej to wyrazić, znajdzie się dziś jedno tylko określenie: chaosu. Wszystko co było, co przeszło i co jest, znajduje się jeszcze w stanie ciągłej prężności, i mimo pewnych pozorów, że więzy społeczne odzyskały jakąś wartość, trudniej może nad Dnieprem niż gdziekolwiekbądź indziej przewidzieć, kiedy i jakie przyjdą jeszcze rozwiązania.

Rzut oka wstecz, na rozwój t. zw. ukraińskiej myśli państwowej, stwierdzić może przecież niejedno. Garść tutejszej i nietutejszej inteligencyi, korzystając z ogólnego położenia państwa rosyjskiego, przyszła do znaczenia, które nie odpowiadało bynajmniej ani wpływom, ani może i pierwotnym ich samych zamiarom. Reprezentanci „Ukrainy“ długo bardzo nie mogli się rozstać bowiem z myślą, że będą odłączeni od Rosyi, w granicach której chcieli budować dopiero jakąś narodowość. Gdy w marcu 1917 „Towarzystwo ukraińskich postępowców“ zebrało się radzić nad przyszłymi losami kraju, wszystkich razem członków towarzystwa było niespełna dwadzieścia osób. Łatwo im przyszło nazwać się „Centralną Radą Ukraińską“, ile że prócz grupki tej nie istniała na Ukrainie żadna wogóle organizacya, przyznająca się do ukraińskich ideałów. Ale rząd tymczasowy rosyjski był słaby, zresztą nie cenił wysoko ukraińskich aspiracyi, a demonstracye kijowskie miały tak dobrze małoruski jak i czysto rosyjski charakter. Głównie też ów wzgląd, że rząd rosyjski nie posiadał w istocie żadnego przekonania o trwałości ukraińskiej idei, przyczynił się, że niezałatwione żądania natury językowej i administracyjnej, wysuwane przez „Radę centralną“ podziałały separatystycznie na żywioły kijowskie. Do-

piero od tej chwili można też mówić już o historyi nowoczesnego ukrainizmu wogóle.

Dalszy rozwój wypadków, tarcia między olbrzymią większością inteligencyi mieszczańskiej, głównie rosyjsko-żydowskiej i garścią żądnych władzy Ukraińców, walka na wsi z popami, których uważano za dawne carskie sługi, wypędzenie ich, wreszcie agitacya za reformą agrarną, trudności przy wydzielaniu wojsk z armii rosyjskiej i t. p. spowodowały znowu znaczne ostudzenie w stosunkach między Kijowem i Petersburgiem. Majowy kongres ukraiński, zjazd włościan, których jednano popularnemi hasłami, stwarzały znów pozory, że jednak jakiś ukrainizm ma racyę bytu, skoro rosną zastępy jego zwolenników. Wydział „Centralnej Rady" czyli tak zwana „Mała Rada Ukraińska" z prof. Hruszewskim na czele mogła się też pochwalić uznaniem przez Petersburg, a nawet „ugodą rosyjsko-ukraińską". Powstał z kolei ukraiński „Sekretaryat generalny" czyli gabinet, którego kierownikiem został p. Winniczenko.

Był więc już rząd prowizoryczny, było coś w rodzaju parlamentu, któremu po części odpowiada „Mała Rada", były jakieś zaczątki wojska, ale brak było jeszcze granic terytoryalnych, a wśród tych granic jakiegoś uznania dla władzy. Jedynym elementem, na którym mógł oprzeć się rząd, był chłop małoruski, ale ten miał tylko dwa zrozumiałe dla siebie ideały, t. j. nie bić się i wziąć ziemię. Wszystko inne mało go obchodziło. To też cała władza rządu wisiała w powietrzu, a anarchia i grabieże były mu poniekąd na rękę, gdyż w powszechnym przewrocie zdawało się, że zginie przedewszystkiem własność polska i rosyjska. Wybuchł wreszcie bolszewizm, ogarniając wojsko i lud, a na terytoryum całej wówczas Rosyi jedynie „Sekretaryat generalny", jako instytucya uznana oficyalnie przez b. rząd tymczasowy rosyjski, utrzymał się, a nawet zyskał chwilowe poparcie rosyjskich i żydowskich stronnictw politycznych.

Można powiedzieć, że szczęście sprzyjało ukraińskim zamiarom. Do Kijowa przybywali z północy rosyjscy patryoci i utrwalali ogół w przekonaniu, że odrodzenie państwa, burzonego przez anarchię Lenina i Trockiego, może sprowadzić tylko silna Ukraina. Słowem na „Sekretaryat" patrzono jak na prawowity rząd części Rosyi, gdy cały pozatem kraj tonął już w odmętach sowieckich. Tak rząd ukraiński nareszcie rozpoczął rządzić. Jak — ? — wiadomo.

Rządy gabinetu „ukraińskiej republiki ludowej“ wciąż jeszcze sfederowanej z Rosyą, jednym mogły tylko poszczycić się rezultatem wewnętrznym, t. j. konfiskatą własności prywatnej. Miało to być, jak zapewniali ukraińscy działacze, przeciwbolszewickie antidotum. W praktyce też, mimo bolszewickich metod władz ukraińskich walczono już z wyznawcami tej samej idei. W grudniu powstały owe dwa rządy ukraińskie, kijowski i charkowski. W styczniu komendant bolszewicki pułkownik Murawiew, opanował Kijów, a nowy rząd ukraiński, złożony z socyal-rewolucyonistów, wyprowadził się wraz ze swym premierem, p. Hołubowiczem, do Żytomierza. W Brześciu robiono pokój i niepodległość Ukrainy, którą jeszcze w dniu 24 stycznia proklamował p. Hruszewski. Gdy zaś zrobiono jedno i drugie, i gdy w dniu 1 marca b. r. wkroczyli do Kijowa Niemcy z dekoracyjnymi „sinymi żupanami“, miraż ukraińskiego rządu rychło począł się rozwiewać.

Niemcy względnie szybko zoryentowali się w sytuacyi, choć nie odrazu wiedzieli, że wrogów-kadetów należy popierać, a przyjaciół, t. j. chłopa, posiadającego zboże, trzeba dopiero zmusić do uznania i przyjaźni. W każdym razie te momenty, które później wysunięto przy kwietniowem rozpędzeniu Centralnej Rady, t. j. właściwy wpływ Ukraińców na Ukrainie, były Niemcom i przedtem znane. Nie nazywali też inaczej kijowskiego rządu jak „Affentheater“, w przeciwieństwie do oznaczania nowo sprzymierzonego kraju wiele mówiącym terminem „Hadiukenland“ — (kraj gadzin).

Jak należy rozumieć właściwy powód oddania pseudo-rządów kadetom i osobistemu przyjacielowi Nikołaja II-go, Skoropadskiemu, czy chęcią nawiązania stosunków z przyszłą Rosyą, czy tylko apelem do „chliborobnego“ dotrzymania umów brzeskich, przyszłość lepiej wyjaśni. Ten drugi motyw jest dziś bliższy i więcej zrozumiały. Rząd hetmański utrzyma się więc, dopóki będzie potrzebny i o ile dopełni niezawieranych przez siebie umów zbożowych, że zaś dopełnić ich nie będzie mógł, to nie jego wina, jacykolwiek bowiem na jego miejscu znaleźliby się ekscelencye, nie zdołają dziś wyjrzeć poza pokoje czy salony swoich biur bez pomocy niemieckich „Erhohlungstruppen“. Kraj należałoby rozbroić — mówił jeden z przyjaciół Niemców do wysokiego dygnitarza wojsk oswobodzicielskich — i otrzymał słuszną, zdaje się, odpowiedź:

Stan dzisiejszy tak się więc przedstawia: jest rząd okupacyjny i rząd hetmański, są gdzieś jakieś wpływy dawnej Rady Centralnej, są różne powiatowe, a czasem niemal gminne rządy jakichś „atamanów“, istnieją jeszcze poszczególne rządy sowieckie i wreszcie tajny rząd „czerwonej kropki“, instytucyi na pół anarchistycznej, może nie zbyt wpływowej, ale ruchliwej i często przez lud słuchanej, bo wywieszającej krańcowe hasła. Pewne zmęczenie anarchią, jakie niezawodnie opanowało nawet chłopa, przyczyniłoby się zapewne do uspokojenia wewnętrznego i regulacyi stosunków, ale chłop musiałby ujrzeć na własne oczy siłę jakiejś władzy i to nie władzy eksportowanej. Tej dotychczas brak. Uświadomienie polityczne mas jest za niskie, względnie wcale go niema, o narodowem najlepiej może pouczyć każdorazowa odpowiedź „sełanyna“: kim jest? mużykiem, prawosławnym, wreszcie po dłuższej dyskusyi gotów się przyznać do bolszewizmu. O narodowem poczuciu „ukraińskiem“ szkoda mówić. Ten stan „poglądów“ na politykę nie przeszkadza wcale chłopu do wynurzeń, że byle wrócił dawny rząd z przed rewolucyi, to wieś, tasama, która dziś jeszcze ulega hasłom bolszewickim, pierwsza wywiesza niemiłosiernie wszystkich bolszewików i żydów. Tymczasem zaś na Rusi jest wielu chcących panować, brak tylko tego, którzyby panować umiał.

Rozbrajanie wsi odbywa się bardzo powoli i zresztą nierównomiernie. Odbywa się ono przedewszystkiem tam, gdzie znajdzie się chętny właściciel do zaryzykowania już dziś powrotu.

Jeśli wieś nie stawia zbrojnego oporu i właściciel zostaje wprowadzony w posiadanie ziemi, we wsi zostaje załoga kilkunastu żołnierzy. Przezorność nakazuje przecież rozbroić szereg wsi sąsiednich, bo wówczas tylko można być pewnym, że porządek będzie na dłużej zapewniony. Pociąga to za sobą konieczność stałego dozoru wojskowego, więc też i liczba „karnych oddziałów“ musi wzrastać. Naogół nie wiele też dokonano rozbrojeń, z tych w kilkunastu wypadkach chodziło o majątki obciążone na hypotece w bankach,

obracających niemieckim kapitałem. Do majątków polskich nie wprowadzano naogół właścicieli. Prócz wypadków, gdzie rozbrojenie połączone było z powrotem właścicieli-chliborobów, miały one także miejsce, gdy chodziło o objęcie administracyi gruntami dworskimi przez władze okupacyjne. Właściciel sprzedawał w teoryi plon ozimy zarządowi wojskowemu. Wobec różnorodnych pogłosek o tym właśnie ostatnim przejawie, podkreślić należy, że znalazł się tylko jeden jedyny wśród polskich ziemian, który przyszłe zbiory ozime w tej formie sfinansował.

Stosunek kół t. zw. ukraińskich polityków do Polaków był od samego początku w najlepszym razie niewytłomaczony, częściej natomiast ujawniała się wyraźna niechęć do wszystkiego, co polskie. W marcu zeszłego roku, w czasie pierwszej manifestacyi w Kijowie, p. Hruszewski witał nawet Polaków „po bratersku“, „Polaków, którzy mieszkają na Ukrainie i chcą wiernie i szczerze pracować dla jej dobra“. Takim ogólnikowym zwrotem, nie pozbawionym ukrytych zastrzeżeń, trudno było zainicyować stosunki trwalsze. Niedługo też okazało się, co ma oznaczać wierna i szczera praca dla Ukrainy. W ciągu miarowego zdobywania „władzy“ przez Ukraińców, Polacy często spotykali się ze znanym zresztą i w Rosyi apelem, by zechcieli współdziałać przy budowie państwa ukraińskiego, ale już jako Ukraińcy. Amatorów nie było wielu. Gdy potem, po zorganizowaniu Rady Centralnej w myśl „ugody kijowskiej“ z rządem rosyjskim, dopuszczono do niej i przedstawicieli „mniejszości narodowych“, którym zasadniczo przyznano jedną czwartą mandatów, na 18 miejsc dla mniejszości, Polakom przypadły w udziale zaledwie dwa. Przytem wyborami pokierowano w ten sposób, że reprezentacyę zapewniono z góry pewnym tylko partyom, społecznie radykalnym, stojącym poza ogromną większością społeczeństwa polskiego. W istocie też mimo pewnych tytułów i nazw, mimo istnienia t. zw. sekretaryatu polskiego, równego ministerstwu, mimo zapewnień równouprawnienia kulturalnego i narodowego, do jakiegokolwiek wpływu na tok spraw właśnie w stosunkach między narodowościami, rząd ukraiński Polaków nie dopuszczał. Ogłaszając w styczniu b. r. uniwersał o „całkowitej niepodległości“ Ukrainy i o stosunkach nowego państwa do państw ościennych, zapomniała Mała Rada o Polsce, i dopiero starania kół polskich przypomniały jej potrzebę uwzględnienia sąsiedztwa z państwem polskiem.

Robota więc szła na wszystkie strony. W Kijowie, aby coś przecie dla Polaków zrobić, głoszono o wielkich zwycięstwach armii generała Muśnickiego, przebąkiwano o przymierzu broni, ogłaszano urzędowe biuletyny o walkach Pokówz bolszewikami. Przesadzano oczywiście bez żadnych skrupułów, byle tylko wpłynąć na wojska sowietów, by odeszły bronić Moskwy przed polskim najazdem. Później, gdy wojska niemieckie i austryackie wkroczyły na wolną Ukrainę, by przyjść jej z pomocą w walce z sowietami i gdy lud dosyć dziwnie przyglądał się przybyszom, a nawet okazywał jawną niechęć z powodu takiego obrotu rzeczy, w kraju zaczęto uporczywie rozszerzać pogłoski, że to polscy panowie sprowadzili wojska obce, by miał ich kto bronić przed podziałem ziemi. I jest faktem, że do tej chwili wojska polskie, wydzielone z armii rosyjskiej, gdziekolwiek one były na Rusi, cieszyły się wszędzie posłuchem, a nawet sympatyą. W obronie przed bolszewizmem wzywały ich bowiem nietylko polskie żywioły, ale często się zdarzało, że miasta, gdzie żywioł polski reprezentował zaledwie cząstkę mieszkańców, chętniej zawsze widziały polskiego żołnierza, niż rewolucyjne zastępy rosyjskie. Więc też do dzisiejszego dnia pozostaje niewytłomaczonem, czemu do wojsk polskich tak nagłą zapałano niechęcią,

Ukraińcy, jak świadczyły głosy ich prasy, starali się przedstawić rzecz całą jako wynikłą z polskiej winy, ale przechwalali się zarazem „chłopską strategią“ i „zwycięstwem“. Zwycięstwo, jak wiadomo, było krótkie i smutne. Te i inne wypadki, odsłaniając całą szczerość zamiarów działaczy ukraińskich, którym zdawało się, że w ten chociaż sposób zaspokoją głód panowania, przyczyniły się, że nawet te polskie żywioły, co weszły w skład ukraińskiego rządu, ustąpiły wreszcie z niego na krótko przed czasem, gdy rząd „ukraińskiej republiki ludowej“ przestał istnieć, by zrobić miejsce władzy hetmańskiej.

Nowy rząd, jak przystało na pierwsze dni jego istnienia, obiecywał niejedno. Polakom proponowano początkowo udział w rządzie, a nawet kilka ministerstw, potem reprezentacyę narodową w gabinecie, a w końcu, zgodnie z żądaniem niemieckich władz okupacyjnych zaniechano wszelkich w tym względzie przyrzeczeń. Wyjąwszy też dni majowe narodzenia się hetmaństwa,

gdy pewna część społeczeństwa polskiego sfery ziemiańskiej przypisywała trwalsze znaczenie dokonanej zmianie, cały żywioł polski, zdany na własne siły, własnym też siłom woli ufać i energii.

Spodziewano się wiele po rządzie warszawskim, organach władzy, o których słyszano i o których chętnie na Rusi roznosili wiadomości powołani i niepowołani informatorzy. Nie można się więc dziwić, że przy anarchii ogólno-rosyjskiej i żywej agitacyi skrajnych w obu kierunkach stronnictw polskich, zgnębiona niejednem myśl, łatwo przyjmowała mile brzmiące wiadomości, że „tam w Królestwie jest władza prawowita, rząd posiadający zaufanie całego narodu, że jest wolność i niepodległość".

Dziś, po wszystkich przejściach, nadziejach i zawodach trzeźwiej nieco i bez nastrojów spogląda żywioł polski w przyszłość. A bynajmniej nie spogląda sceptycznie. Przyznać trzeba, i z dumą to można podkreślić, odżyła na Rusi dawna kresowa tężyzna życiowa, mimo klęsk i ciosów, których nie szczędzi nam los, społeczeństwo wykazuje olbrzymi zasób energii, zna swoją wartość i odnajduje wciąż nowe siły do wytężonej pracy.

M.

Kijów w czerwcu 1918.

Dokumenty Sprawy polskiej od początków wojny po dzień dzisiejszy.

OD REDAKCYI. Podajemy poniżej przedruk najważniejszych oświadczeń, odezw, aktów prawnopaństwowych, wydanych w sprawie polskiej przez strony wojujące, a niekiedy i neutralnych. Z przemówień i oświadczeń mężów Stanu, które tylko częściowo poświęcone są sprawie polskiej, podajemy odpowiednie wyjątki, nie mogąc z braku miejsca przytaczać tych przemówień w całości. Wydawnictwo to, które pozwoli nam od początków śledzić losy sprawy polskiej i jej tak pomyślną dla nas ewolucyę, doprowadzimy w następnych numerach do ostatniej chwili. Za czas po sierpień 1917 przyjęliśmy za podstawę zbiór dokumentów urzędowych, wydany w r. 1917 przez Dra Bohdana Winiarskiego, pt.: „Międzynarodowość sprawy polskiej“, nie znamy zupełnie w kraju. Natomiast dokumenty od sierpnia 1917 roku zestawiliśmy według tutejszych pism, starając się o ile możności porównać je z oryginałem.

1. Proklamacya dowództwa naczelnego niemieckich i austryacko-węgierskich armii wschodnich do Polaków [1]). Sierpień 1914 r. — Polacy! Zbliża się chwila oswobodzenia z pod jarzma moskiewskiego. Sprzymierzone wojska Niemiec i Austro-Węgier przekroczą wkrótce granice Królestwa Polskiego. Już cofają się Moskale. Upada ich krwawe panowanie, ciążące na Was od stu przeszło lat. Przychodzimy do Was jako przyjaciele. Zaufajcie nam!

---

[1]) Rozrzucana przez lotników niemieckich.

Wolność Wam niesiemy i niepodległość, za którą tyle wycierpieli ojcowie Wasi.

Niech ustąpi barbarzyństwo wschodnie przed cywilizacyą zachodnią, wspólną Wam i nam!

Powstańcie, pomni Waszej przeszłości, tak wielkiej i pełnej chwały.

Połączcie się z wojskami sprzymierzonemi. Wspólnemi siłami wypędzimy z granic Polski azyatyckie hordy.

Przynosimy tu wolność i swobodę wyznaniową, poszanowanie religii, tak strasznie uciskanej przez Rosyę. Niech z przeszłości i teraźniejszości przemówią do Was jęki Sybiru i krwawa rzeź Pragi i katowanie Unitów.

Z naszymi sztandarami przychodzi do Was wolność i niepodległość. — Naczelne dowództwo niemieckich i austro-węgierskich armii wschodnich.

2. Proklamacya armii austryacko-węgierskiej do Narodu polskiego. 9 sierpnia 1914 r. — Do Narodu Polskiego! Z woli Wszechmocnego, który kieruje losami narodów i z rozkazu swych monarchów sprzymierzone armie Austro-Węgier i Niemiec przekroczyły granice, przynosząc w ten sposób i Polakom wyzwolenie z pod jarzma moskiewskiego.

Powitajcie nasze sztandary z ufnością, bo one zapewniają Wam sprawiedliwość.

Sztandary te nie są Wam i Waszym rodakom obce. Wszakże przez półtora przeszło wieku rozwija się wspaniale Wasz naród pod berłem Austro-Węgier i Niemiec, a pełne sławy tradycye Waszej przeszłości łączą się najściślej jeszcze od czasów króla Jana Sobieskiego, który pospieszył ze skuteczną pomocą zagrożonemu państwu Habsburgów, z tradycyami Waszych sąsiadów na zachodzie.

To jest naszem wielkiem zadaniem, które łączy się z celem naszej kampanii.

Nie my szukaliśmy wojny. Rosya walczyła długo bronią oszczerstw i wszelkich zaczepek. Nie zawahała się wreszcie stanąć po stronie tych, co usiłowali zatrzeć ślady niecnej zbrodni, skierowanej przeciw dynastyi austro-węgierskiej, skorzystała ze sposobności tej, aby napaść na monarchię i na sprzymierzone z nią państwo niemieckie. Zmusiło to naszego Dostojnego Władcę, któ-

remu Europa przez dziesiątki lat zawdzięczała pokój, do chwycenia za oręż.

Wszyscy mieszkańcy Rosyi, których zwycięztwo naszych sprzymierzonych armii odda pod naszą opiekę, spodziewać się mogą od nas zwycięzców sprawiedliwości i ludzkości.

Polacy! Zawierzcie ochotnie i z całą ufnością naszej opiece, popierajcie nas i nasze usiłowania z całego serca! Zawierzcie sprawiedliwości i wielkoduszności naszych władców, spełniajcie swą powinność, swój obowiązek utrzymania ziemi rodzinnej, spełniajcie obowiązki, jakie nakłada na Was wola Boga Wszechmogącego. — Naczelna Komenda c. i k. wojska austro-węgierskiego.

3. Odezwa Wodza Naczelnego armii rosyjskiej do Polaków. 14 sierpnia 1914 r. — Polacy! Wybiła godzina, w której święte marzenie ojców i dziadów Waszych ziścić się może.

Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpane zostało na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania narodu polskiego i braterskiego pojednania z Wielką Rosyą.

Wojsko rosyjskie niesie Wam błogą wieść owego pojednania. Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części naród polski! Niech połączy się on w jedno ciało pod berłem Cesarza rosyjskiego! Pod berłem tem odrodzi się Polska, swobodna w swojej wierze, języku i samorządzie.

Jednego tylko Rosya spodziewa się po Was: takiego samego poszanowania praw narodowości, z któremi związały Was dzieje.

Z sercem otwartem, z dłonią po bratersku wyciągniętą kroczy na Wasze spotkanie Wielka Rosya. Wierzy ona, iż nie zardzewiał miecz, który poraził wroga pod Grunwaldem.

Od brzegów oceanu Spokojnego do mórz północnych ciągną hufce rosyjskie. Zorza nowego życia dla Was wschodzi.

Niech zajaśnieje na tej jutrzni znamię Krzyża, godło męki i zmartwychwstania narodów! — Zwierzchni wódz naczelny, jenerał-adjutant Mikołaj.

4. Odezwa Wodza Naczelnego armii rosyjskiej do ludów Austro-Węgier [1]). Sierpień 1914. — Ludy Austro-Węgier! Rząd

[1]) Ogłoszona w dziesięciu językach.

wiedeński wypowiedział Rosyi wojnę za to, że Rosya, wierna swoim tradycyom historycznym, nie mogła pozostawić Serbii bez obrony i pozwolić na uczynienie jej niewolnicą.

Ludy Austro-Węgier! Wkraczając na czele wojska rosyjskiego w granice Austro-Węgier, w imieniu wielkiego Cesarza Rosyjskiego, oświadczam Wam, że Rosya, która nieraz już przelewała krew w sprawie uwolnienia narodów od jarzma cudzoziemskiego, nie do niego dąży, jeno do przywrócenia prawa i sprawiedliwości. Wam, ludy Austro-Węgier, niesie ona także teraz wolność i urzeczywistnienie Waszych pragnień narodowych. Rząd austryacko-węgierski w ciągu stuleci siał między Wami niesnaski i nienawiść, ponieważ tylko na Waszych rozterkach opierała się jego władza nad Wami. Rosya, przeciwnie, dąży tylko do jednego, aby każdy z Was mógł się rozwijać i cieszyć się pomyślnością, zachowując drogocenny skarb ojców: język i wiarę, oraz, aby połączony z braćmi rodzonymi żyć mógł w pokoju i zgodzie z sąsiadami, szanując ich niezależność.

Przekonany, że będziecie ze wszystkich sił współdziałali w dopięciu tego celu, wzywam Was, abyście wojsko rosyjskie witali jako wiernych przyjaciół i bojowników za Wasze najszczytniejsze ideały. — Zwierzchni wódz naczelny, jenerał-adjutant Mikołaj.

5. Wezwanie władz wojskowych rosyjskich do Polaków [1]). 9 września 1914 r. — Ze względu na lojalne stanowisko rosyjskich Polaków do naszej wojny, Jego Cesarska Mość rozkazać raczył wszystkim Polakom oznajmić, że wojna obecna jest oswobodzeniem Słowian, między nimi i Polaków. Jego Cesarska Mość obiecuje, jeżeli z Bożą pomocą zwycięsko zakończy wojnę, że wszystkie części dawnej Polski, tak będące pod władzą niemiecką, jak austryacką i rosyjską, zjednoczy w jedną całość autonomiczną i że odrodzi się Polska pod władzą Rosyjskiego Cesarza. Dlatego Jego Cesarska Mość spodziewa się, że wszyscy Polacy dołożą swych wszystkich starań, aby pomódz dziełu oswobodzenia Słowian w ogólności i Polaków w szczególności.

Główny dowódca rosyjskiej armii oznajmia, że jest bardzo rozgoryczony tym faktem, że zagraniczni Polacy tworzą oddziały sokołów i z bronią w ręku występują przeciwko rosyjskim woj-

[1]) Rozlepione na murach miasta Czerniowiec w językach rosyjskim i polskim.

skom. Dla tych sokołów będzie on bez litości i rozkazuje ich, na wypadek pojmania, rozstrzeliwać jako wrogów słowiaństwa i nie będzie ich uważał za stronę wojującą.

6. Proklamacya generała-lejtenanta von Morgena przy wkroczeniu armii niemieckiej do Królestwa Polskiego. 17 września 1914 r. — Mieszkańcy gubernii Łomżyńskiej i Warszawskiej! Rosyjska armia z nad Narwi została zniszczona. Wzięto do niewoli przeszło sto tysięcy żołnierza wraz z dowodzącymi generałami 12-go i 15-go korpusu, oraz zabrano 300 armat. Wileńska armia pod dowództwem gen. Rennenkampfa cofa się w kierunku wschodnim. Wojska austryackie przybywają tu z Galicyi w zwycięskim pochodzie. Francuzi i Anglicy zostali we Francyi doszczętnie pobici. Belgia pozostaje pod zarządem niemieckim. Przybywam na czele mego korpusu, jako przednia straż dalszych wojsk niemieckich; przybywam jako Wasz przyjaciel. Powstańcie i wraz ze mną wygnajcie rosyjskich barbarzyńców, gnębiących Was w Waszym pięknym kraju, który ma obecnie polityczną i religijną wolność odzyskać. Taka jest wola mego potężnego i łaskawego Monarchy. Polecono moim wojskom traktować Was jako przyjaciół i opłacać, co nam dostarczacie. Po Was i po Waszym rycerskim charakterze spodziewam się, że przyjmiecie nas jako najlepszych sprzymierzonych przyjaciół. — Generał-lejtenant von Morgen.

7. Mowa hr. J. Bobryńskiego, wojennego jenerał-gubernatora Galicyi, miana w pałacu Namiestnikowskim w odpowiedzi na mowę prezydenta m. Lwowa, dra Rutowskiego. 13 października 1914 r. — Dziękuję Wam, Panowie, za utrzymanie porządku i spokoju w mieście. Chętnie chcę wierzyć, że w przyszłości znajdę z Waszej strony zupełne i szczere współdziałanie przyszłym mym pracom. Od Was w całości zależeć będzie utrwalenie we mnie tego zaufania do Was, bez którego wszelka praca wspólna jest niemożliwą i bezużyteczną. Uważam za niezbędne, zaznajomić Was z zasadami wytycznemi przyszłej mej działalności.

Przedewszystkiem Galicya wschodnia i Łemkowszczyzna jest odwieczną częścią jednej Wielkiej Rusi. Na ziemiach tych ludność rdzenna była zawsze rosyjska: administracya tych ziem powinna więc być oparta na zasadach rosyjskich. Będę tu zaprowadzał rosyjski język, rosyjskie prawo i ustrój. Zasady te będą wprowa-

dzane w życie, naturalnie, z pewną stopniowością. Uważam za niezbędne w interesie całej ludności nie zakłócić normalnego biegu życia kraju. Wobec tego ograniczę się na razie do mianowania rosyjskich gubernatorów, naczelników powiatów i rosyjskiej policyi.

Wszyscy zaś urzędnicy samorządu miejskiego (jak np. urzędy miejskie, gminne itd.), będą przezemnie czasowo dopuszczeni do pełnienia swych obowiązków, naturalnie pod warunkiem, że się okażą prawomyślnymi dla władzy rosyjskiej.

Sejm nie będzie zwołany. Posiedzenia zebrań ziemskich, rad miejskich i zebrań gminnych są zakazane. Do chwili zakończenia działań wojennych zamknięte też będą wszystkie bez wyjątku stowarzyszenia, związki i kluby. Otwarcie ich może nastąpić tylko za specyalnem mojem każdorazowem pozwoleniem.

Wszystko, co powiedziałem, dotyczy wyłącznie ziem odwiecznie rosyjskich. W Galicyi Zachodniej przeszłość historyczna jest inna, skład ludności polski. Kiedy dzielne nasze wojsko wyzwoli tę część Galicyi, z radością zastosuję tam zasady, ogłoszone w odezwie Naczelnego wodza, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, naturalnie pod warunkiem, że ludność polska ujawni życzliwy stosunek względem władz i wojsk rosyjskich. Naturalnie, nie zniosę żadnych jawnych lub ukrytych wystąpień przeciwko Kościołowi prawosławnemu.

Korzystam z tego pierwszego naszego widzenia się, by w sposób określony stwierdzić i uprzedzić przez Panów całą ludność miasta Lwowa i Galicyi, że najmniejszą próbę przeciwdziałania w sposób jawny lub tajny zarządzeniom władz, będę karał całą surowością praw wojennych i sądów polowych, nie patrząc ani na stanowisko, ani na stan, ani na inne okoliczności.

Znane są Wam te rozległe pełnomocnictwa, które posiadam celem zapobieżenia wystąpieniu przeciw państwowości rosyjskiej. Spodziewam się, że nie będę potrzebował do nich się uciekać.

8. Oświadczenie rosyjskiego prezesa ministrów, Goremykina złożone w Dumie i Radzie Państwa. 1 sierpnia 1915 r. — ... Uważam za swój obowiązek już dzisiaj poruszyć jedną sprawę, stojącą jakby na granicy między wojną i naszemi wewnętrznemi sprawami: jest to sprawa polska. Oczywiście, i ta sprawa w całości może być rozstrzygnięta dopiero po wojnie. Teraz Polska oczekuje przedewszystkiem wyswobodzenia jej ziem z pod cięż-

kiego jarzma niemieckiego, ale i w czasach dzisiejszych ważnem jest, by naród polski widział i wierzył, że przyszły jego ustrój ostatecznie i nieodwołalnie uregulowany został przez odezwę Wodza Naczelnego. Rycerski, szlachetny, po bratersku wierny naród polski, który mężnie zniósł w tej wojnie niezliczone ciosy, budzi w sercach naszych najgłębsze współczucie i najzupełniejszy szacunek. Obecnie Jego Cesarska Mość Najwyżej upoważnił mnie do oświadczenia Wam, pp. członkowie Dumy Państwowej, że Najjaśniejszy Pan rozkazał Radzie ministrów opracować projekt, przyznający Polsce, po skończonej wojnie, prawo swobodnego urządzenia swego życia narodowego, kulturalnego i gospodarczego na zasadzie autonomii pod berłem cesarzów rosyjskich i przy zachowaniu jednolitości państwowej.

9. Oświadczenie rosyjskiego prezesa ministrów Stuermera, złożone w Dumie. 22 lutego 1916 r. — ... W sprawie bratniego narodu polskiego, szlachetnie i wytrwale walczącego wraz z naszemi dzielnemi wojskami przeciw historycznemu wrogowi Słowiańszczyzny, obowiązkiem naszym jest najszybsze urzeczywistnienie zasad zjednoczenia narodowego, zapowiedzianych w pierwszych dniach wojny, a następnie na mocy Najwyższego rozkazu ogłoszonego z tej trybuny przez mego poprzednika na stanowisku prezesa ministrów. Z woli Najjaśniejszego Pana dla Polski otwiera się nowe życie, zapewniające narodowi polskiemu swobodny rozwój jego cech duchowych, oraz dążności kulturalnych i ekonomicznych.

10. Oświadczenie ministra spraw zagranicznych Sazonowa, złożone w Dumie. 12 lutego 1916 r. — ... Z samego początku wojny Rosya wypisała na swym sztandarze zjednoczenie podzielonej Polski. Cel ten wskazany z wysokości tronu i ogłoszony przez wodza naczelnego, blizki sercu całego społeczeństwa rosyjskiego i powitany sympatycznie przez naszych sprzymierzeńców — cel ten został niezmiennym dla nas i teraz.

11. Z mowy kanclerza Niemiec, p. Bethmann-Hollwega, wygłoszonej w Parlamencie Rzeszy. 5 kwietnia 1916 r. — ... Niemcy i Austro-Węgry nie zamierzały stawiać sprawy polskiej, wysunął ją przebieg wypadków wojennych, czeka ona dziś na swe rozwią-

zanie i rozstrzygnięta będzie, bo historya nie zna wypadku, by po takich wstrząśnieniach powracał stan przedwojenny.

... Czy można rzeczywiście przypuszczać, aby Niemcy dobrowolnie znowu kiedykolwiek oddały pod panowanie reakcyjnej Rosyi wyzwolone przez nie i jej sprzymierzeńca narody, mieszkające między morzem Bałtyckiem i błotami wołyńskiemi, jako to Polaków, Litwinów, Niemców nadbałtyckich i Łotyszów? Nie, nie można ponownie pozwolić, aby Rosya mogła przerzucić swe wojska przez nieobronną granicę Prus.

12. Przemówienie kanclerza Rzeszy, Bethmann-Hollwega, do wezwanych do Berlina przedstawicieli społeczeństwa polskiego w Królestwie [1]). 28 października 1916 r. — Panowie! Wysłuchałem życzeń Panów. Co do celu ostatecznego zgadzają się one z zamiarem obu mocarstw centralnych. Sprzymierzone cesarstwa, w których ręce los tej bezkresnej wojny oddał w najszerszej mierze posiadanie kraju polskiego, pragną, by powstało państwo polskie pod rządami króla, z polską armią, w ścisłym związku z mocarstwami centralnemi, w szczególności pod względem wojskowym, by powstało państwo, w którego granicach ziścić się ma życzenie Polaków co do życia narodowego, kulturalnego i niezawisłego.

Póki trwa walka, krępująca wszelkie stosunki życia, niepodobna, zaledwie kilka mil za frontem bojowym, ustalić granic tego państwa. Tem samem nie można w całości państwa ukonstytuować. Dopiero w czasie pokoju będzie można to uskutecznić. Dlatego niepodobna mi dziś zająć się szczegółowo życzeniami panów. Ale jedną rzecz zdołali panowie poznać w okresie całorocznym, w którym zawiadywaliśmy częścią tego kraju, że mianowicie staramy się nie tylko odbudować całe życie narodowe, o ile to jest możliwe wobec ciężkich zadań, jakie stawia wojna, lecz dążymy także do tego, by stopniowem tworzeniem samorządu polskiego przygotować podstawę i silny ustrój na ową chwilę, w której bę-

---

[1]) Byli to pp. Brudziński, Chmielewski, Dickstein, Dzierzbicki, Łempicki, F. ks. Radziwiłł, hr. Ronikier i Wieniawski. „Wezwani do wyrażenia życzeń Polaków“, zaproponowali ustanowienie regenta z pełnią władzy, zniesienie granicy między okupacyami, utworzenie tymczasowej Rady Stanu, mającej przygotować konstytucyę i zorganizować rząd polski, utworzenie Dep. Wojskowego i zorganizowanie armii polskiej, wreszcie proklamowanie króla i ustalenie granic Polski przy zawarciu pokoju.

dzie można dokończyć utworzenia państwa polskiego. Praca przedwstępna, którą teraz już trzeba spełnić, musi opierać się na współdziałaniu i wzajemnem zrozumieniu, tak jak przyszły nasz przyjacielski stosunek sąsiedzki mieć będzie wytyczną we wspólności wielkich celów życia państwowego, politycznego i gospodarczego.

Z pełną ufnością w te momenty mocarstwa sprzymierzone powzięły swe postanowienie. Żywią one nadzieję, że ta ufność będzie odwzajemniona. Spodziewamy się napewno, że Polacy z zaufaniem oczekują losu swego z rąk obu cesarstw i że ramię przy ramieniu z nami będą współdziałali w zabezpieczeniu tego, co zdobyto, i w ostatecznem osiągnięciu wielkiego celu. Oby Bóg dzieło nasze poprowadził do szczęśliwego końca.

13. Przemówienie austryackiego ministra spraw zagr. barona Buriana do przedstawicieli społeczeństwa polskiego w Królestwie. 30 października 1916 r. — Sprawia mi żywe zadowolenie powitać Was tu, Wielce Szanowni Panowie i módz Was zawiadomić, iż Jego Cesarska Mość, mój Najmiłościwszy Pan i Jego Dostojny sprzymierzeniec, Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki, postanowili powołać ponownie do życia państwo polskie.

Przyszłe Królestwo Polskie będzie mogło, naturalnie, dopiero po zawarciu pokoju rozpocząć swą pełną egzystencyę państwową, a w ścisłym związku z obu mocarstwami centralnemi będzie mogło zarówno pod względem politycznym, jak wojskowym, znaleźć gwarancyę swego istnienia.

Wyraziliście, Panowie, w swoim memoryale szereg życzeń, do których spełnienia nie można jeszcze przystąpić, możecie jednak być pewni, że w porozumieniu z naszym sprzymierzeńcem, Niemcami, starać się będę wedle możności w czasie właściwym zadość uczynić Waszym życzeniom.

Także już dotychczas wielokrotnie dawaliśmy dowody naszego czynnego zainteresowania dla Polski i przysposobiliśmy teren do utworzenia państwa polskiego, nie możemy jednakże ustać w walce, ani w pracy tak, że gdy nadejdzie pokój, będziemy mogli spokojnie, pod pomyślnemi auspicyami, oddać Wam państwo wyzwolone.

Chcemy wyzwolić Polskę ostatecznie z pod jarzma rosyjskiego i liczymy przy tem także na Waszą czynną pomoc. Miejcie pełne zaufanie do nas, złóżcie Wasz los z ufnością w ręce mocarstw sprzymierzonych i współdziałajcie wszystkiemi waszemi du-

chowemi i materyalnemi siłami w urzeczywistnieniu postanowionego przez Austro-Węgry i Niemcy historycznego czynu.

14. Proklamacya samodzielności Królestwa Polskiego. 5 listopada 1916 r. — Do ludności generał-gubernatorstwa warszawskiego. Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki i Jego Cesarska Mość Cesarz Austryi Apostolski Król Węgier w mocnem przeświadczeniu o ostatecznem zwycięstwie ich oręża i powodowani życzeniem doprowadzić do szczęśliwej przyszłości ziemie polskie, oderwane z pod panowania rosyjskiego za cenę wielkich ofiar przez ich mężne wojska, zgodzili się co do tego, by utworzyć z tych ziem samodzielne państwo z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem. Bliższe określenie granic Królestwa Polskiego pozostawia się na przyszłość. Nowe królestwo znajdzie przez związek z obydwoma państwami sprzymierzonemi gwarancye, które mu są potrzebne do swobodnego rozwoju swych sił. Chwalebne tradycye polskich wojsk czasów dawniejszych i wspomnienia o walecznych polskich towarzyszach broni w obecnej wielkiej wojnie powinny znaleźć swój wyraz we własnej armii. Organizacya jej, wykształcenie i kierownictwo będą uregulowane we wzajemnem porozumieniu.

Sprzymierzeni monarchowie mają uzasadnioną nadzieję, iż życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego ziszczać się obecnie będą z uwzględnieniem niezbędnem ogólnych politycznych stosunków Europy oraz pomyślności i bezpieczeństwa ich własnych krajów i narodów (die Wünsche nach staatlicher und nationaler Entwicklung des K. P. nunmehr unter gebotener Rücksichtnahme auf die allgemeinen politischen Verhältnisse Europas und auf Wohlfahrt und Sicherheit ihrer eigenen Länder und Völker erfüllen werden).

Wielkie zaś, sąsiadujące z Królestwem Polskiem mocarstwa zachodnie z radością będą widzieć na swej granicy wolne, szczęśliwe i cieszące się narodowem życiem państwo.

Na mocy najwyższego rozkazu Jego Cesarskiej Mości cesarza niemieckiego — Generał-gubernator.

15. Pismo odręczne cesarza Franciszka Józefa I. do prezesa ministrów austryackich, dra Koerbera o wyodrębnieniu Galicyi. 5 listopada 1916 r. — Kochany dr. v. Koerber! W myśl

porozumienia mego z Jego Cesarską Mością cesarzem niemieckim utworzone zostanie z oderwanych z pod panowania rosyjskiego przez nasze waleczne wojska ziem polskich samodzielne państwo z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem. Przy tej okazyi uprzytomniam sobie w głębi serca liczne dowody oddania i wierności, których w ciągu długiego panowania swego doznałem ze strony kraju Galicyi, jako też wielkie i ciężkie ofiary, które kraj ten, w obecnej wojnie wystawiony na potężny nacisk wroga, ponieść musiał w interesie zwycięskiej obrony wschodnich granic państwa i które zapewniają mu prawo od najgorętszej mojej ojcowskiej opieki. Jest więc wolą moją w chwili, gdy nowe państwo powstaje, łącznie z tym rozwojem udzielić również i krajowi Galicyi prawo samodzielnego urządzania swoich spraw krajowych w całej tej rozciągłości, która zgadza się z przynależnością jego do państwowej całości i z jego rozkwitem, a przez to zapewnić podstawy narodowego i gospodarczego rozwoju Galicyi. Zawiadamiając Pana o tym mym zamiarze, polecam mu wypracować i przedłożyć mi odpowiednie wnioski do urzeczywistnienia go w sposób, określony przez ustawy.

16. Odezwa gubernatorów, wzywająca do stworzenia armii. 9 listopada 1916 r. — Monarchowie sprzymierzonych mocarstw Niemiec i Austro-Węgier oznajmili Wam swe postanowienie utworzenia z ziem polskich, wyzwolonych z pod jarzma rosyjskiego, nowego, samodzielnego Królestwa Polskiego. Urzeczywistnia się w ten sposób najgorętsze pragnienie Wasze, które od wieku przeszło żywiliście napróżno.

Powaga i niebezpieczeństwa tych ciężkich chwil wojennych i troska o wojska nasze, stojące w obliczu wroga, zmuszają nas zarząd nowego państwa Waszego zatrzymać w naszych rękach. Chętnie jednak chcemy dać Wam, z własną pomocą Waszą, już teraz, stopniowo, te urządzenia państwowe, które mają poręczyć trwałe ugruntowanie, ukształtowanie i bezpieczeństwo państwa Waszego,

Przedewszystkiem zaś dać Wam chcemy wojsko polskie.

Jeszcze trwa walka z Rosyą, dotąd nie zakończona; w walce tej pragniecie wziąć udział. Stańcie więc przy nas jako ochotnicy i pomóżcie nam uwieńczyć zwycięstwo nasze nad Waszym prześladowcą.

Mężnie i z wielką chlubą bracia Wasi z Legionu polskiego walczyli obok nas; wstępujcie w ich ślady w nowych oddziałach wojskowych, które złączone z dawniejszym Legionem utworzą w przyszłości wojsko polskie. Nada to silną podporę Waszemu nowemu państwu i zapewni mu bezpieczeństwo nazewnątrz i nawewnątrz.

Pod narodowemi barwami i sztandarami Waszemi, które ukochaliście nadewszystko, macie osłaniać Ojczyznę Waszą. Znamy odwagę Waszą i płomienną miłość Ojczyzny i wzywamy Was do boju przy naszym boku.

Mężowie Waszego kraju, zdolni do broni, zbiorą się za przykładem walecznych bojowników Legionu Polskiego i we wspólnej na razie pracy z armią niemiecką i ze sprzymierzoną armią austryacko-węgierską stworzą podstawę armii polskiej, w której pełne chwały tradycye Waszych dziejów wojennych odżyją na nowo w wierności i męstwie Waszych żołnierzy.

Warszawa, 9 listopada 1916 r. Generał-gubernator von Beseler. — Lublin, 9 listopada 1916 r. Generał-gubernator, Kuck.

17. **Komunikat rządu rosyjskiego w sprawie aktu 5 listopada.** 14 listopada 1916 r. — Rządy niemiecki i austro-węgierski, korzystając z czasowego zajęcia przez ich wojska części terytoryum państwa rosyjskiego, proklamowały oderwanie ziem polskich od cesarstwa rosyjskiego i utworzenie z nich samodzielnego państwa, przyczem wrogowie nasi mają oczywiście na celu dokonanie w Polsce poboru rekruta dla wzmocnienia swoich armii.

Rząd cesarski upatruje w tym akcie Niemiec i Austro-Węgier nowe brutalne pogwałcenie przez naszych wrogów zasadniczych podstaw prawa międzynarodowego, które zabrania zmuszać ludność ziem siłą zbrojną okupowanych do podnoszenia oręża przeciwko własnej ojczyźnie. Rząd uznaje rzeczony akt za niemający znaczenia.

Co do istoty kwestyi polskiej Rosya od początku wojny już po dwakroć wypowiedziała swoje zdanie. W zamiarach jej leży utworzenie Polski, zjednoczonej ze wszystkich ziem polskich i nadanie jej po zakończeniu wojny prawa swobodnego budowania własnego bytu narodowego, kulturalnego i ekonomicznego na podstawach autonomii pod berłem Monarszem Cesarzów rosyjskich z zachowaniem jedności państwowej.

To postanowienie naszego Najjaśniejszego Monarchy pozostaje niezachwianem.

18. Nota okólna rządu rosyjskiego w sprawie aktu 5 listopada. 14 listopada 1916 r. — Wbrew prawu międzynarodowemu, niemieckie i austro-węgierskie władze w Warszawie i Lublinie ogłosiły, że rosyjskie gubernie Polski tworzą odtąd oddzielne państwo. Cesarski rząd rosyjski protestuje przeciw aktowi, który jest nowem pogwałceniem ustaw międzynarodowych, potwierdzonych uroczyście przez Niemcy i Austro-Węgry i ogłasza, że gubernie Królestwa Polskiego są, jak i dawniej, częścią składową Imperyum Rosyjskiego i że ich mieszkańcy są zobowiązani przysięgą, złożoną na wierność Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zasada samookreślenia.

(Kilka uwag z powodu opinii ks. Roberta v. Nostitz-Rienecka T. J., cytowanej w „Głosie Narodu“ w nrze 119 r. b. w artykule z napisem: „Ze spraw kościelno-politycznych“).

Jedni używają wyrazu samookreślenie“, inni „samostanowienie“. Najlepiejby było, gdyby się zgodzono na termin „samowolność narodowa“. Wyraz „samowolność“ nie znaczy tylko tyle co „arbitralność“, ale także „wolę swobodną“ (porównaj Linde s. v. „sam“). Równie trafną byłaby nazwa „własnowolność narodowa“.

Zasada ta nie jest hasłem dopiero co rzuconem dla agitacyi za jej prawnem urzeczywistnieniem — nie jest takiem sobie bezsilnem wymaganiem t. z. prawa natury, lecz dzisiaj ona jest już normą obowiązującą pozytywnego prawa międzynarodowego. Za naszej pamięci została, po raz pierwszy, zastosowana po wojnie r. 1859 (austro-włosko-francuskiej) i po pokoju w Villa-francà, który tę wojnę zakończył co do Sabaudyi, która wtedy, na zasadzie układu między Francyą a Sardynią, dostała się Francyi, ale dopiero po plebiscycie ludności, z mocy owego układu przeprowadzonego, który wypadł na korzyść Francyi. Również wtedy i przyłączenie małych udzielnych państewek włoskich (Parmy, Modeny, Toskanii i t. d.) do królestwa włoskiego nastąpiło dopiero po plebiscytach ludności. Gdy w r. 1860 Garibaldi wypędził Burbonów z ówczesnego królestwa neapolitańskiego, to przed jego formalnem połączeniem z królestwem włoskiem miał miejsce plebiscyt. Gdy Włochy, dnia 20 września 1870 r. zajęły ówczesne Państwo kościelne (20 września 1870 r.), to jego wcielenie do

obszaru królestwa włoskiego nastąpiło po plebiscycie tegoż ludności, tej aneksyi przychylnym. Gdy cesarz Franciszek Józef, w r. 1866, po Sadowie, odstąpił prowincyę wenecką Napoleonowi III, to ona została przyłączona do dzierżaw królestwa włoskiego wskutek plebiscytu jej ludności, który Napoleon kazał przeprowadzić. Wojnę w r. 1866 między Austryą a Prusami zakończył pokój pragski (23 sierpnia 1866 r.); tegoż postanowienie o zrzeczeniu się Austryi wszelkich praw do Szlezwiku-Holsztynu, zawiera zastrzeżenie, że północna część Szlezwiku ma być zwrócona Danii, jeśli jej ludność oświadczy się za tem w swobodnem głosowaniu. Ten ustęp traktatu pokojowego dla tego ma dla naszej kwestyi znaczenie olbrzymie, że zawiera uznanie zasady własnowolności narodowej ze strony Rządu pruskiego. Wprawdzie został ten dodatek uchylony w umowie zawartej między Austryą a Niemcami we Wiedniu, dnia 11 października 1878 r., ale ta właśnie okoliczność przemawia za tem, że Prusy uznawały to postanowienie za ważne. Pokój pragski przyszedł do skutku za wdaniem się Napoleona, z którym poseł pruski v. d. Goltz poprzednio warunki jego ułożył; owa klauzula plebiscytowa została w nim zamieszczona na żądanie Napoleona. Zachodzi zatem wielkie pytanie, ażali jej uchylenie, umówione tylko między Austryą a Niemcami, obowiązuje także Francyę i Danię, której przysparza korzyści, tudzież wogóle wszystkie państwa prócz kontrahentów? Odpowiedź musi wypaść zaprzeczająco, jeśli wykażemy, że w tym przypadku był plebiscyt koniecznością prawną, podyktowaną prawem międzynarodowem, które w tym przypadku było zapoczątkowane zwyczajem prawnym, ale we wzmiankowanem wyżej pragskim traktacie pokojowym, zostało już jako norma obowiązująca prawa międzynarodowego, zwyczajem wytworzona, wszechstronnie uznaną, a w szczególności także Prusy tejże się poddały.

Ażeby zwyczaj prawny stał się normą obowiązującą potrzeba spełnienia się trzech warunków: dwóch zewnętrznych i jednego wewnętrznego. Pierwszy z tych zewnętrznych niezawodnie się ziścił, bo zwyczaj ten od r. 1859 aż do r. 1870 był ciągły, nieprzerwany i jednostajny. Jako drugi z owych warunków przyjmuje się długoletniość praktyki zwyczajowej. Jeżeliby okres jedenastoletni w ogóle nie mógł być w sądzie za długoletni uznany, to w tym szczegółowym przypadku, z chwilą podpisania pokoju prag-

skiego, zwyczaj ten stał się normą obowiązującą, międzynarodowego prawa traktatowego. W prawie tem mają traktaty takie same znaczenie, jak ustawy, wydane w państwie przez władzę prawodawczą, której braknie w organizacyi międzynarodowej. Zresztą może być długoletniość praktyki danego zwyczaju zastąpiona częstotliwością i rozmiarami owej praktyki. Jeżeli się przyjmie, że w r. 1859 i 1860 tyle było plebiscytów ile krajów uległo aneksyi, to one powtórzyły się więcej aniżeli sześć razy i objęły cały półwysep apeniński.

Koniecznym i ważnym warunkiem przemiany zwyczaju na prawo jest to, żeby po stronie czynnika decydującego t. j. tego, od którego stosowanie zwyczaju zależy, istniało przekonanie, pełne rozważnie wyrobione, że tak postępując, idzie się zgodnie z prawem, że tedy dla dogodzenia prawu inaczej zachować się nie można (*opinio necessitatis*). Dotychczasowa praktyka wręcz się sprzeciwiała duchowi prawa wszelakiego, cywilnego i publicznego, a nadto chociaż ciągle się powtarzała, w żadnym układzie międzynarodowym nie została wypowiedziana ogólna i zasadnicza norma, że razem z ziemią anektującemu przypadają prawnie, bez osobnego aktu prawnego, także jej ludność i znajdujące się na niej zasoby, podobnie jak bydło inwentarskie idzie na bęben razem z folwarkiem, jako jego przynależność. Po ustaniu niewolnictwa, w stosunkach prawa cywilnego, człowiek zawsze jest podmiotem tychże. Możesz tedy w prawie publicznem człowiek być przedmiotem targów i odgrywać rolę przynależności, nad którą się milcząco przechodzi do porządku dziennego, jeżeli się jest szczęśliwym nabywcą rzeczy głównej? I oto jak po zniesieniu niewolnictwa cywilnego powstała niewola polityczna; a niewolnicy polityczni doby naszej nieraz mogliby niewolnikom rzymskim pozazdrościć ich losu i stanowiska. W światłych mózgach rewolucyonistów koronowanych, Napoleona III. i Wiktora Emanuela, musiało powstać przekonanie, że dotychczasowa praktyka aneksyjna prawu wprost urąga i że rozporządzać człowiekiem wbrew jego woli jest obrazą ludzkości i prawa. I co jeszcze w tej sprawie jest ciekawe i znamienne, to, że zarządzano plebiscyty, choć wynik tychże z góry był pewny, a więc w przekonaniu, że one są konieczną formalnością prawną.

Przyjmując, że z przyczyn wyżej wyłożonych te głosowania opierają się na normie, która już w r. 1866 obowiązywała, mu-

simy dojść do wniosku, że traktat pokojowy frankfurcki z r. 1871, który zakończył wojnę niemiecko-francuską i Rzeszy niemieckiej i przekazał Alzacyę i Lotaryngię bez plebiscytu, formalnie do skutku nie przyszedł, czyli, że jest nieważny. Norma ta bowiem uświęca zasadę, że akt aneksyi, jednostronny lub umowny, wymaga do swej ważności przyzwolenia ludności, osiadłej na obszarze zajętym.

Przyjmując następnie, w myśl poprzednich wywodów, że norma ta nie zawiera uchylenia żadnego przeciwnego przepisu prawnego, lecz jest raczej tylko uchyleniem praktyki z prawem niezgodnej, dochodzimy do konkluzyi, że w skutku niej ustałby rozdźwięk między prawem międzynarodowem z jednej, a wszelkiem innem prawem z drugiej strony, gdyby jej zachowanie mogło być zapewnione. Toby się wielce przyczyniło do umoralnienia prawa międzynarodowego i do podniesienia jego powagi, bo wtedyby, z mocy tegoż prawa, musiały ustać napastliwe wojny zaborcze. Koalicya głosi, że w wojnie obecnej nie tyle chodzi o pokonanie przeciwnika, ile o zwycięstwo zasady narodowej własnowolności. Jeżeli to nastąpi, to równocześnie zwycięży zasada, którą nauka już powszechnie uznała, a której rządy jawnie nie przeczą, że państwo służy narodowi nie zaś naród państwu. Tu prawda głównie w tem zjawisku dziejowem się spełnia, że naród może istnieć bez własnego państwa. Jej tryumf poniekąd możebny tylko na gruzach obecnego porządku społecznego i państwowego. Ale wtedy dopiero może być zepewniony pokój trwały i powszechny. To wszystko uwzględniając, trudno się zgodzić z ks. N., że zasada samookreślenia chrześcijańską być nie może.

W końcu myli się ks. N. gdy twierdzi, że gdyby nawet ta zasada została uznana, to jej urzeczywistnienie jest niemożliwe, bo niewiadomo, kiedy plebiscyt ma być zarządzony i kto w nim bierze udział? Także mu się wydaje, że on nigdy być nie może wyrazem rzeczywistej woli narodu.

W prawie niezawodnie obok treści aktu prawnego muszą być ściśle określone jego warunki ważności: podmiotowe i formalności. Sądzę, że one, przy pomocy praw odnośnych, zostały w praktyce jak najdokładniej ustalone. Prawo udziału w plebiscycie służy ludności obszaru, będącego przedmiotem aneksyi bez względu na to, czy jest jednolitą lub nią nie jest. Głosowanie by-

wało zawsze powszechnem i równem. Prawo terytoryalne rozstrzyga o tem, komu służy prawo głosu, a w szczególności, czy także kobietom? Jeżeli ludność była rządzona despotycznie, to nie można tej kwestyi inaczej rozstrzygnąć jak tylko w ten sposób, że prawo to jest przywiązane do cywilnej własnowolności. Zazwyczaj cała ludność zajętego obszaru stanowi jedno ciało wyborcze. Jeżeli jednak przed aneksyą była podzielona na osobne całości polityczne zbiorowe (państwa, kraje, prowincye), to rozumnie tych danych historycznych nie można pominąć, a więc podzieli się ludność na odpowiednią ilość ciał wyborczych, jak to się stało we Włoszech w roku 1859, chociaż ta ludność była wszędzie narodowo jednolita.

Przyczyną plebiscytu może być tylko aneksya, zamierzona lub faktycznie dokonana, a w szczególności także po okupacyi po odniesionem zwycięstwie. Już się o tem wspomniało, że do ważności tejże plebiscyt zawsze konieczny, nawet i wtedy, gdy rezultat głosowania, aneksyi przychylny, nie może być wątpliwy. Prawo cywilne pozwala na wzruszanie aktów woli, pod przymusem zdziałanych. Prawo międzynarodowe jednak musiało uznać ważność umowy, podyktowanej zwyciężonemu przez zwycięzcę, bo inaczej wojna byłaby bezcelowa i pokój niemożebny. Jeżeliby jednak postanowienia aneksyjne wymagały sankcyi za pomocą plebiscytu, to znaczyłoby to, że okupacya wojenna jest wprawdzie faktycznym warunkiem aneksyi, ale nie jest jej tytułem prawnym, który tkwi w plebiscycie. W ten sposób brak rzeczywistego przyzwolenia ze strony pognębionego zwyciężonego nie może być taką etyczną skazą jak w prawie cywilnem.

Kto przeprowadza głosowanie jest rzeczą obojętną, byleby akt głosowania, który jest prawnym aktem woli, odbył się w zupełnej swobodzie, bez nacisku i bez bałamucenia ludności marnemi obietnicami. Zarzucają plebiscytowi z r. 1859 o Sabaudyę, że został w ten sposób wyłudzony. Jeżeli, jak to dotąd prawie zawsze bywało, okupant, żądny aneksyi, kieruje głosowaniem, to zachodzi takie niebezpieczeństwo, ale niekoniecznie i nie zawsze. Mimo pięknej ustawy o czystości wyborów, nie ma sposobu paraliżowania wpływów z góry, jeśli tam nie ma dobrej woli uszanowania najcenniejszego dobra obywatelskiego: przekonania politycznego; niema bowiem prawa, któreby chroniło mienia od zło-

dzieja domowego. Zresztą w tej sprawie możnaby kierownictwo głosowaniem powierzyć międzynarodowej komisyi, złożonej z delegatów państw neutralnych, pod osłoną neutralnej siły zbrojnej. Byłoby to połączone z dużymi kosztami i z wielkiemi trudnościami. Ale pamiętajmy o tem, że od urzeczywistnienia tej wielkiej idei zależy pokój świata.

A. Bálasits.

Charakterystyka twórczości M. Konopnickiej.

(Dokończenie).

Forma.

I w formie poezyi M. Konopnickiej doszukujemy się wspomnienia wielkiego romantyzmu polskiego, tak, jakeśmy je w treści odnaleźli. Echo epoki Mickiewicza, od spokoju i objektywizmu której była zresztą poetka bardzo oddalona, odzywa się we fragmentach poematu Unici. Niespokojna dynamika jej uczucia, spokrewniając ją czasami ze Słowackim, wywoła z konieczności pewne naśladownictwo formy. Patos patryotyczny odezwie się nieraz w niej tonem liry Jeremiego. Urywek Na odludziu wzorów swego potrosze u Pola, potrosze u Syrokomli szukać każe, dość ścisła zależność pomiędzy liryką ludową jej i Lenartowicza — odrazu uderza. Poza tem umie ona jednak na lutni swej własne, oryginalne wywoływać tony.

Badanie tych tonów i śledzenie artystycznego rozwoju M. Konopnickiej w chronologicznym porządku jest dość trudne i da się tylko w ogólnych grupach przeprowadzić. Sama poetka bowiem nie oznaczała momentu powstawania poszczególnych wierszy. Niektóre wychodziły w pismach, inne wydań zbiorowych czekały, inne jeszcze, dla względów cenzuralnych krążyły w odpisach jedynie. W całym obszarze twórczości M. Konopnickiej możemy jednak rozróżnić dwa zasadnicze okresy: pierwszy pomiędzy rokiem 1876 a 1890 zawarty, obejmujący lata prób młodzieńczych, stopniowego wyrabiania się formy z częstemi zresztą zastanowieniami się rozwojowej linii artyzmu i drugi, ciągnący się od 1890 roku aż do zgonu poetki i wykazujący w ostatnim dziesiątku ubie-

głego stulecia najwyższy rozwój jej talentu. Rozpoczynamy od pierwszego.

Z pozoru niesłusznem wydać się może twierdzenie, iż w talencie tym, który często grzeszył retoryzmem i umiłowaniem nadto ozdobnej, nadto błyskotliwej formy, tkwiło uzdolnienie do klasycznej niemal prostoty. A jednak tak jest niezaprzeczenie. Świadczy o tem ów wspomniany powyżej W s t ę p, który u progu twórczości Konopnickiej stoi. Wiersz ten pisany spokojnym trzynastowierszowcem, na trzy wyraźne ustępy się rozpada. Ustęp pierwszy opowiadający o wygnaniu z Aten poetów, utrzymany jest w tonie zupełnie objektywnej, lekkim jedynie humorem zabarwionej narracji, o obrazowości szlachetnej, ale powściągliwej. Ustęp drugi, malujący rozmyślania Platona, z samowiedzą artystyczną przeprowadzony jako rymowana proza dla oddania apoetycznej trzeźwości filozofa. Dopiero w ustępie trzecim zdobywa się poetka na obraz niezwykłej rozległości piękna i mocy. Oto o lutnię woła młody chłopiec, wpatrzony w zachwycie

w błękit ten, czysty jak fala
Egejska, gdy w niej jutrznia łuny swe rozpala
. . . .
Nad nim szumią drzewa,
Ptak wędrownv skrzydłami bije i pieśń śpiewa
Olimp w mgłach gubi czoło, jak senny atleta,
Echo pieśni Homera w błękitach gdzieś kona,
A wokoło powstają bohaterów cienie,
I ojcowie o wielkiem sercu idą smutni...

Wejrzyjmy w pierwiastki tego obrazu, rozwiniętego na tle greckiego błękitu.

Przedewszystkiem uderza nas przestrzenność jego. Wyrazem tej przestrzenności szerokiej, swobodnej — ów ptak wędrowny, Olimp zamglony — więc daleki, wreszcie echo pieśni Homerowej, konającej w przestworzu. Następnie zwróćmy uwagę na mistrzowskie uszeregowanie odbieranych przez czytelnika wrażeń, dematerjalizujących się, idealniejących stopniowo. Szumiące drzewa, ptak skrzydłami bijący, to obrazy realne jeszcze. Do nich należy i Olimp, już jednak mgłami oddalenia wyidealizowany. Ale dalej — echo pieśni Homera i nakoniec cienie wielkich ojców, o sercu wobec teraźniejszości smutnem, to już i słuchowe wrażenie i wzrokowa wizja mocą wyobraźni jedynie wywołana, to przeszłość Grecji, tę-

sknotą poety do życia wskrzeszona. Obok więc przestrzenności fizycznej jest i przestrzenność nadzmysłowa, ogromna, bo wieki minione z chwilą obecną wiążąca.

Wszystko to zaś wywołane niesłychaną prostotą środków, bez żadnych efektów, ni przejaskrawień, ze spokojem w barwie, rysunku obrazów i budowie wiersza.

A jednak tego daru prostoty nie umiała poetka rozwinąć w sobie i należycie wypielęgnować. W okresie, który omawiamy poświęca ją ona często dla formy sztucznej, błyskotliwej i dla publicystyczno-retorycznej dyalektyki, które wszelką poezję zabija.

Przyczyn tego szukać należy najpierw w nieestetycznej zgoła atmosferze ówczesnej, która przeszkadzała jej do zorjentowania się samej w sobie do skupienia i wniknięcia w naturę wielkiego, prawdziwego piękna, następnie zaś w owem z głębi jej uspołecznionej duszy płynącym nakazie służby, który czynił z Konopnickiej apostołkę pewnych idei, zmuszał ją do argumentacji, do przekonywania, do polemizowania prawie, ze szkodą dla artyzmu.

Okres pierwszy jej twórczości najsilniej jest przeniknięty owym znanym nam już humanitaryzmem bojowym. Dwa zasadnicze uderzają w okresie tym tony. Albo podniosły liryk, przechodzący niekiedy w obrazek epiczny, albo też piosenka ludowa służą poetce do wypowiedzenia tego, co wypowiedzieć pragnie. Wsłuchajmy się w ton pierwszy.

S-te Beuve w jednej z krytyk o Wiktorze Hugo powiedział, iż poeta ten, gdy znalazł wyrażenie odpowiednie, nie poprzestawał na niem, lecz szukał innego, odpowiedniejszego jeszcze. Coś podobnego dzieje się potrosze i u M. Konopnickiej. Amplifikuje ona nieraz bez potrzeby myśl zasadniczą, a nieraz też, chcąc przekonać gruntownie, nagromadza takie mnóstwo materjału, iż czytelnik zapomina o początku, zanim dojdzie do końca jej twierdzeń, zapytań i uczuciowych wybuchów.

Oto n. p. w Dumaniach wskróś nocy, rozmyślając o celach ludzkości, o tem „gdzie lecą wieki i gdzie idą ludy“, dziewiętnaście razy przyrody o to pyta. W jednym z obrazków dwadzieścia cztery razy zapytuje Co pocznie ze swem dziecięciem uwiedziona kobieta. W programowem Credo również aż dwadzieścia cztery punkty swoich wierzeń nagromadza nie bacząc, że niektóre treść tę samą zawierają, jak n. p. wiara w „braterstwo

ludów", „w uścisk, co kiedyś połączy świat cały"; raz jeszcze „w uścisk i zachętę bratniej dłoni".

Grzeszy przytem i obrazowością, częstokroć nie tyle barwną, ile błyskotliwą, a pomimo to martwą potrosze. Te jej brylantowe blaski, słońca brylantowe strzały, rozbrylantowe djademy, brylantowe promienie, brylantowe chmury, krople wody jak rubiny, opale i djamenty, djamentowe blaski poranków, djamentowe skry uczuć, struny kryształowe, błyski opalów w źrenicy; czary rozkoszy, pianą rubinów kipiące, djamentowe tarcze obojętności męczą, rozkoszy estetycznej nie dając.

Gdy w Myślach poetka zestawia człowieka, który pragnie, z „namiętną kaskadą",

W otwartą przepaść srebrzystymi szumy
Choć się nasycić nie może, wciąż spada —

Gdy w wierszu Co ja sieję nazywa siebie biczem:

na serca w tłustości
Własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem, —

to już nie znużenie, ale niesmak nas ogarnia. Nakoniec, gdy pyta serca ludzkiego, gdzie jego „siły i energji suma", gdy twierdzi, że:

Ideał jasny, ideał promienny
Coraz wyższego i szerszego ruchu
Choć w formie zjawisk wydaje się zmienny
Trwa wiecznie w prawdzie i w duchu
Duch dąży w światła dziedziny przyszłości
I w ruchy swoje wciela niewidomie
Żywą energię walczącej ludzkości
W całym jej różnic ogromie —,

Czujemy, że w tej chwili praca myślowa Konopnickiej wszelką poezję w niej zabiła i że w trosce o to, by przekonać, pouczyć, zapomniała, iż poecie nie wolno operować czystemi abstrakcjami, lecz winien je w obrazy zmysłowe przyoblekać.

Te uchybienia wobec piękna podkreślamy z obowiązku krytyka. Zaznaczyć jednak wypada, iż nie mówiąc już o poezjach następnego okresu, nawet współcześnie okupywała je poetka całą masą liryków szlachetnych, silnych i pięknych, okupywała nade-

wszystko ową „nadzieję przeciw nadziei“, która z wzniosłych jej haseł płynąc, umacniała serca.

W pieśniach na ligawce nuconych, w echach płynących z łąk i pól, narzucała się prostota, jako konieczność. Nawraca też ku niej poetka, ale nie zawsze z jednakim rezultatem.

Wiemy już, że liryka jej jest raczej przedmiotową, że się od własnego ja odwraca i pobudek twórczych w otaczającym ją świecie szuka. Otóż, jeśli w procesie wnikania w pewien stan cudzej psychiki natchnienie jej uzyska stopień dostatecznego skupienia, by proces ten należycie przeprowadzić, wtedy da nam ona rzecz prawdziwą, szczerą i estetycznie skończoną. Zdarza się jednak, iż poetka ostatecznej objektywizacji w stosunku do swej własnej duszy przeprowadzić nie jest w stanie i że rozpoczyna się u niej coś nakształt drogi zwrotnej. Odeszła od swego ja by się cudzem uczuciem zająć, teraz ku temu ja znowu powraca, by pewne elementy swej własnej psychiki temu, w czyjem imieniu śpiewa, narzucić. Wtedy to dziecko stojące z szopką przed dworem, dziewczyna wiejska marząca jesienią, matka opowiadająca dziecięciu o cudach wsi, której ono nigdy nie widziało, poczynają przemawiać do nas nie własną mową, lecz językiem poetki i powstaje rzecz nieszczera w treści, sztuczna w formie. Grzech tej sztuczności i nieszczerości w liryce ludowej dzieli Konopnicka z Lenartowiczem, który był jej poprzednikiem i poniekąd wzorem. Ale obok owych załamań i niedociągnięć psychologiczno-estetycznych dała nam poetka na polu tej liryki szereg drobnych, lecz rzetelnych arcydzieł. Gdy śpiewa „na fujarce“.

Rozlegnijże się
Głosie po lesie,
Po zielonej szumiącej dąbrowie
. . . .
Oj matusiu, lny nam kwitną . . .
. . . .
Jakże cię mam brać dziewczyno
Jakże cię mam brać! . . .
. . . .
Zaświadcz że mi nocko jasna
Gwiazdy swojemi . . .
. . . .

to pieśni te mają melodyjność, prostotę i bezpośredniość naprawdę ludową.

Wraz z ostatnim dziesiątkiem ubiegłego stulecia rozpoczyna się drugi okres twórczości M. Konopnickiej. W nim talent jej pełnego rozwoju dosięga. Burzliwa uczuciowość poetki uspokoiła się już nieco, złagodniała też bojowa tendencyjność jej liryki. Podróże po Włoszech i Prowancyi otwierają przed nią skarby największego wszecheuropejskiego piękna, rozszerzają jej horyzont artystyczny, pogłębiając estetyczną kulturę. Forma jej wiersza wznosi się na wyżyny doskonałości, dotąd niebywałej, równającej się mistrzostwu Moreasów i Roquierów. Tylko że to romańskie wyrafinowanie opiera się u niej o szersze widnokręgi uczuć społecznych i narodowych.

Powyższe określenie odnosi się przedewszystkiem do cyklu Italja.

W części pierwszej potrącaliśmy o cykl ten, niejednokrotnie przytaczając w całości jedną z jego najcudniejszych pereł, wspomnienie z Certosy San Martino. Obok niego wymienić należy z Sonetów włoskich i ze znanego już nam cyklu, Morze, W zakrystji na Murano, Marino Falieri, W Kartuzji, Widzenie morza, Noc w Nerwi, Mewy i owo śliczne Baquasco w którem

Błękitem dyszysz, błękit opływa świat cały,

a wreszcie Willę Wołkońskich i Signa umieszczone przez poetkę o Drobiazgach z podróżnej teki.

W odtwarzaniu świata zewnętrznego posługuje się Konopnicka w okresie tym i w utworach wymienionych powyżej czasem bardzo prostą metodą. Oto elementy opisowe, do których materjału tenże świat dostarcza, występują u niej zupełnie bezpośrednio, tak, jak je dookoła siebie odnajduje, bez pomocy porównań i przenośni. Tylko, że poetka ma tak po mistrzowsku już wyrobioną zdolność patrzenia, że to, co z otoczenia bierze, choćby w najbezpośredniejszej formie, składa się na obraz doskonale piękny samą siłą wyboru, samą umiejętnością odnalezienia wzrokiem i oddania słowem otaczającej rzeczywistości.

Za przykład niech posłuży następująca strofa:

Stary dębowy pulpit, stara na nim księga
Przed pulpitem mnich siedzi, podparty w zadumie,
Gałąź akacji, w cichym chwiejąca się szumie,
W otwarte okno bije i do wnętrza sięga.

Prostota tego obrazu nie potrzebuje komentarzy. A jednak jak doskonale, jak artystycznie wybrane tło stanowi on dla tego, co potem przychodzi strojne w bogactwo porównania i przenośni, więc dla owej wstęgi złocistej słońca, dla morza, grającego niby organ w tumie odległym, wreszcie dla tej całej skali uczuciowych nastrojów, aż prawie że do tragicznego akcentu końcowego, do owego serca, co kwitnie i wonieje na zeschłej gałęzi żywota.

Bo gdzie jej bezpośredniość w odtwarzaniu rzeczywistości nie wystarcza, tam sięga poetka śmiałą jak zwykle ręką po skarby tychże porównań i przenośni. Ale tak często sztuczna i błyskotliwa obrazowość poprzedniego okresu ustępuje obecnie miejsca subtelności, wykwintowi i barw i rysunku. Owe chryzmaty ciszy, kładnące się na skroni, błękitne zadumania, szepty srebrzystych oliw, czarność i milczenie cyprysów, srebrne liry morza zadumanego o swojej głębinie, wreszcie owa miesięczna jasność, co się kładzie na fali, po której wśród srebrnych tumanów kroczy postać Chrystusowa, pozostaną na zawsze świadectwem o ciągłym świetnym rozwoju tego najcudniejszego ze skarbów naszych — poetyckiej polskiej mowy.

Jeśli w okresie poprzednim raziła nas poetka tem, iż pojęciom nadzmysłowym, abstrakcyjnym dość obrazowej nie umiała nadać szaty, to obecnie i ten brak zanikł zupełnie. Zastąpiła go niesłychana suggestywność nastroju, mocą której umie Konopnicka w paru świetnych obrazach zakląć cały ogrom uczuć i myśli.

Oto np. pierwsze dwie strofy Willi Wołkońskich.

Zamknięta!.., Cicha, zamknięta i biała,
Sypiące róże u sennych podwoi,
Na tłach cyprysów, w marmurach swych stoi,
Milczy i pała.
Zamknięta... razem z szelestem i echem
Kroków pielgrzyma, z dalekiej krainy,
I z upojeniem rozkoszy i winy
Z łkaniem i śmiechem...

Czyż nie zawierają one tego wszystkiego, co polski wędrowiec uczuć musi, stając na jej progu. Weźmy wreszcie owe Signa, w których tak subtelnie ton podniosły z żartobliwym się wiąże. Wszak w nich odnajdujemy naprawdę Włochy całe, Włochy rozentuzjazmowanych, zawoalowanych Angielek, historyków

i poetów zasłuchanych w szepty od ruin płynące; klasyczną ziemię Tarkwinjuszów i senatorów Romy i niespokojny podminowany teren dzisiejszych społecznych konfliktów, łagodzonych tylko pogodą południowego słońca, które dobrotliwie ogrzewa „olimpijskich oberwańców“, z wieczną niedzielą ich nędzy; Italję dawną, o przeszłości wielkiej, dziś cmentarnej i dzisiejszą, butną, dumną, jak ów „re“ spiżowy.

Pod względem rytmiki i dźwięczności wiersza osiąga również Konopnicka w cyklu tym stopień wysokiej doskonałości. Bardzo ciekawy pod tym względem jest liryk z refrenem „Znasz li ten kraj“. Stopy jego rytmiczne, rozsypane w pozornym nieładzie i bardzo rozmaite, harmonizują się w całość niezwykle miłą dla ucha.

W szerokiej ciszy leży świat,
W wieczornej ciszy,
Otwarła noc już swój biały kwiat,
I wonią duszy,
Pali się łuną zachodnich zórz,
Nieba i ziemi skraj,
Echo gdzieś płynie z za gór, z za mórz,
... Znasz li ten kraj?“

A już prawdziwem arcydziełem dźwiękowego, onomatopeicznego piękna jest sonet W Castel Fiorentino.

Toskańskiej mocy bije skrzydeł wianie
Toskańskiej nocy leci dech po błoni
Skroś zórz różanych, skroś liljowej toni
Fra Angelica słyszę Zwiastowanie...
I schylam głowę, aż rosa ustanie
I chryzmat ciszy położy na skroni
Już pierwsza gwiazda drżący blask swój roni...
Fra Angelica słyszę Zwiastowanie,
Wszystko, co ziemskie wnet cieniem się stanie,
A co niebieskie, światu się przykłoni...
Gdzieś od Fiesole płynie dzwonów granie...
Nagle się róża miesięczna rozpłoni
Skroś przezroczystej, skroś liliowej toni...
Fra Angelica słyszę Zwiastowanie.

Strona malarska tego liryka bardzo subtelna i piękna, ale w tej chwili chodzi nam o rymy. Dwa ich tylko, od początku do końca, oba bardzo dźwięczne, bo o *n* oparte i bardzo pomiędzy

sobą skrewnione, bo jedynie samogłoskami *a* i *o* się odróżniające. Wsłuchajmy się w ich dźwięk rytmiczny, jednostajny. Słyszymy... Dzwonią na Anioł Pański...

Natchnienie M. Konopnickiej musuje przy zetknięciu się z bujną, wesołą ziemią Prowancji, jak kielich szampana. Szlachetność i dostojność formy, rozwijana we włoskim cyklu nie opuszcza jej i tu, Na Alyscamps i w Sonetach prowansalskich, jak również werwę tryskającą z awinjońskich liryków i prowansalskich Kartek już niekiedy czujemy w Italii i w Drobiazgach. Ale tu tej werwy, ironją zaprawnej, jest więcej. Niekiedy zupełnie po heinowsku wybucha ona. To podobieństwo z Heinem potęguje i rym swobodny, w parzystych jedynie wierszach zachowany, obok narracji prostej, ale bardzo żywej, lotnej nieledwie.

Urbs avinionensis ów gród, w którym sprawiedliwy miał prawo siedem razy na dzień zgrzeszyć. Jacquemard i jego żona, stare dzwony, co rankiem biją dla Papieża, a dla marszałka wieczorem. Wreszcie Dwa grobowce należą do arcydzieł tego cyklu ciekawych bardzo, właśnie ze względu na ów humor, który w poezji M. Konopnickiej rzadko występuje.

Nastrój uczuciowego ukojenia, o którym już wspominaliśmy, potęguje się w ostatnich latach życia poetki. Drobiazgi, które pod wpływem tego nastroju powstały, mają formę jakiejś nadzmysłowej harmonii pełną, gdy słyszymy to, co prawie że nie jest jeszcze słowem, lecz westchnieniem zaledwie:

Woda taka cicha
Jak sen,
Wiatr lekuchno wzdycha
Jak sen.
Łódka tak ucieka
Jak sen,
Myśl taka daleka
Jak sen.

Daleko, daleko, daleko...
Już oczy zgubiły swą drogę
I duszy już posłać nie mogę
I łzy już tęsknoty nie cieką
Daleko, daleko, daleko...

Czujemy, że mówi do nas wędrowiec, co drogę długą przebył, cierpiał i walczył wiele, ale dziś, gdy mu cel ostateczny u końca tej drogi stanie, to go w ciszy powita.

Idziesz do mnie przez skoszone łąki,
Idziesz do mnie przez puste ugory,
A w twem ręku mrących kwiatów pąki,
A na tobie śmiertelne kolory.
Jeszcześ zimnej nie złożyła ręki
Na mych oczach i na sercu mojem
A już czuję, żeś ty jest spokojem,
A już czuję, żeś ty końcem męki...

Szkic niniejszy nie miał być przeglądem szczegółowym utworów poetki lecz tylko jej twórczości charakterystyką. Dlatego pomijamy jej fragmenty dramatyczne, nic nowego do tej charakterystyki nie dorzucające. Nie wzbogaci jej również Pan Balcer. Dzieło to przedstawia bowiem wszystkie znane nam już i zewnętrzne i wewnętrzne cechy tejże twórczości. Uczucie Konopnickiej będzie się wylewało w pięknych lirycznych ustępach, ale właśnie ten liryzm, zabijając objektywizm w epice konieczny, nie pozwoli na należyte przeprowadzenie akcji zawiązania jej węzła, ustosunkowania epizodów. Bohater opowieści pozostanie postacią nie działającą, lecz czującą tylko i przemawiającą i to najczęściej słowami poetki, językiem zmanierowanym, męczącym nadmierną ilością metafor i porównań. I dlatego to, pomimo poszczególnych piękności, jest Pan Balcer dziełem w całości chybionem.

W jednym z wierszy ostatniej doby, pisanym pod pseudonimem J. Sawy, tak sobie prorokuje M. Konopnicka:

Mnie sądzono, żebym latał
Na skowrończych, szarych piórach,
Żebym śpiewał pieśń o słońcu
Kiedy niebo stoi w chmurach.

O tym wielkim, jasnym świecie
Co wyłania się z mórz toni,
Mnie sądzono, żebym śpiewał,
I padł, zanim się wyłoni.

I prorokuje słusznie!

Przeżyła z nami noc najczarniejszą, odeszła przed świtaniem.

Ale danem jej było dostąpić się po śmierci tego, co niewielu poetów staje się udziałem. Oto dziś, gdy dzień wschodzący łamie się z mrokiem bardzo ciężkim jeszcze, gdy dla dodania otuchy i mocy my sami sobie przysięgamy, że bronić będziemy Ducha, że się nie damy zepchnąć z szańca, na którym nas Pan Bóg postawił — czynimy to Jej słowami. Z nich zrobiliśmy sobie święte przykazanie.

A o to dla spuścizny swojej modli się każdy poeta!

Kraków, kwiecień 1918.

Marja Dynowska.

Co się raz stało w Sydonie.

W roku 1907 ukazała się w Warszawie księga zbiorowa, wydana przez grono literatów warszawskich (pod redakcyą Zdzisława Dębickiego) dla uczczenia pamięci zamordowanego przez bandytów Jana Gadomskiego, autora Larika i zasłużonego publicysty: Pamięci Jana Gadomskiego — Koledzy. Najpiękniejszą ozdobą tej księgi jest nowela Sienkiewicza, dotychczas nie wcielona jeszcze do zbiorowego wydania jego pism i dlatego też mało znana. Sądzimy przeto, że umieszczając ją (za pozwoleniem Córki Autora) w Roku Polskim, sprawimy miłą niespodziankę Czytelnikom.

(Redakcya).

Abdolonim padł na twarz przed Marhabalem, bogatym kupcem z Sydonu i leżał jak długi dopóty, dopóki Marhabal nie zapytał, coby to miało znaczyć. Wówczas powstał i mówił jak następuje:

— Panie! za cały majątek mam tylko mały ogródek, w którym uprawiam rzodkiew, cebulę i róże. Ale jestem młody, pracowity i uczciwy. Wiem, że to, co powiem, może ci się wydać szaleństwem, lub co najmniej zuchwalstwem. Ponieważ jednak nazywają cię w Sydonie „Roztropnym", ufam, że nie uniesiesz się gniewem. Oto pokochałem twoją córkę, cudną Thalestris, jestem przez nią wzajemnie kochany — i błagam cię, panie, abyś mi ją oddał za żonę.

Marhabal chciał w pierwszej chwili ogrzmocić Abdolonima laską z kości słoniowej, którą trzymał w ręku, albo zawołać niewolników, aby go zrzucili ze schodów — ale powstrzymał się, albowiem istotnie nie zwykł nic czynić bez namysłu. W Sydonie nazywano go nietylko „Roztropnym" ale i „Dokładnym", gdyż

lubił rozprawiać, lubił wypowiadać swoje myśli obszernie i dowodzić wszystkiego w sposób niezbity i wykazujący jak na dłoni: o ile zdrowy i stateczny rozum kupiecki przewyższa wszelkie inne myślenie. — Z tego powodu umilkł na czas tak długi, jaki jest potrzebny do przesypania się piasku w klepsydrze, a potem tak począł zwolna mówić:

— Abdolonimie! Z córką moją — jeśli istotnie zapach twoich róż odurzył ją aż do zupełnej utraty rozumu, — pogadam osobno i mam nadzieję wybić jej z głowy nieprzyzwoite myśli. Co się tyczy ciebie, mój sposób widzenia jest następujący: Ceniłem cię zawsze za twoje ogrodowizny. Rzodkiew, którą mi sprzedajesz, nigdy nie jest sparciała, a twoja cebula nietylko dobrze smakuje, ale i odbija się tak przyjemnie, że nieraz kupcy na Byrsie [1]) pytają mnie u kogo ją nabywam. To znaczy, że to co robisz, — robisz dobrze. Z tego powodu nie wybuchnąłem gniewem, gdyż zresztą nie widziałem nigdy, aby gniew przyniósł coś komuś w zysku. Ale zastanów się nad twem niebacznem żądaniem. Wiesz, że ja, Marhabal, należę do starszyzny sydońskiej; pięć moich okrętów krąży po morzu między Fenicyą a wyspami i Grecyą; dwa odwiedza brzegi Sycylii i Kartaginy. Mam stu trzydziestu niewolników, ten oto pałac w Sydonie, dom w Tyrze i dwa wielkie składy towarów, nie licząc fabryki szkła i farbiarni. Taki jest mój majątek, który z czasem przejdzie na moją córkę, ponieważ jest ona jedynem mojem prawem dziecięciem. A teraz pytam się ciebie, z czem ty przystępujesz do interesu? co masz? ile ci przynoszą twoje warzywa i jak wielki jest naprawdę ten ogród, który uprawiasz?

— Ogród mój — odpowiedział Abdolonim — niewiele większy jest, o Marhabalu, od tej komnaty, w której przed tobą stoję! Ale prócz tego posiadam osła i serce pełne miłości.

— Średni osieł wart jest pięćdziesiąt drachm fenickich, to jest trzy razy mniej niż ta laska, którą trzymam w ręku i którą chciałem cię w pierwszej chwili obić, czego jednak nie uczyniłem zarówno przez wrodzone mi umiarkowanie, jak i dlatego, żeby jej nie połamać. Co do miłości — miłość jest to ogień. Kto ma mąkę i patelnię może przy nim upiec podpłomyki. Ale powiedz mi, Abdolonimie, gdzie jest twoja mąka i twoja patelnia?

---

[1]) Byrsa była w Kartaginie, autor przypuszcza jednak, że Kartagińczycy przenieśli rozmaite nazwy fenickie do swej nowej ojczyzny.

Abdolonim spuścił głowę i milczał.

A Marhabal, widząc w jego milczeniu tryumf swego rozumowania, uśmiechnął się z zadowoleniem i mówił dalej:

— Córka moja posiada dostatek szat i klejnotów, lecz posiada to wszystko dlatego, że ojciec jej miał głowę na karku i umiał dawać sobie rady w życiu. Gdybyś ty jednak spotkał Thalestris nagą, na jednej z takich skał bezludnych, jakich wiele jest na naszem wybrzeżu, cóżbyś w takim razie uczynił?

Abdolomin zaczerwienił się po uszy.

— O Marhabalu, jakże mam na to odpowiedzieć?...

— Ja nie o tem mówię — przerwał opryskliwie kupiec. — Chcę tylko ci dowieść, że gdybyś ją spotkał nagą, wówczas cała twoja miłość nie miałaby za co kupić jej, nietylko naszyjnika i obrączek na nogi, ale nawet fartuszka na biodra. Przecie w twojej własnej opończy są dziury, przez które przeglądają twoje kolana, powalane ziemią i zielenizną przy plewieniu warzywa. Szczęściem, córka moja nie mieszka na pustej skale i nie jest tak goła jak greckie boginie. — Ale wypadki chodzą po ludziach. Żebyś mnie lepiej zrozumiał, dam ci taki przykład: Oto miasto i kraj zajęli Macedończycy, których monarcha, Aleksander, przewrócił do góry nogami państwo Perskie i cały świat. Króla naszego Stratona przepędził na cztery wiatry jeden z jego wodzów, Hefestyjon, i podobno ma nam dać innego władcę. Zagrabił on już majątki kilku kupców, którzy przed przybyciem Macedończyków przemawiali za oporem. Spodziewam się wprawdzie, że mego mi nie skonfiskuje. Jestem człowiek trzeźwy i umiem liczyć się z rzeczywistością. Fenicya jest dziś słowem bez treści. Niech się Tyr broni, jeśli ma do tego ochotę. — Sydon ma własne interesy i o nich powinien myśleć. — Wypowiedziałem taki pogląd na Byrsie i postarałem się, aby słowa moje doszły do Hefestyjona. Ale przypuśćmy, że stało się inaczej i że wskutek nieporozumienia lub fałszywej skargi, majątek mój został skonfiskowany. Co w takim razie pomogłaby nam twoja miłość? czy starczyłaby nam za dach nad głową i czy potrafiłaby nas nakarmić? Co ty mógłbyś wnieść do spółki prócz rzodkwi i miłości? Mówisz żeś młody? — dobrze! Ale czy to ty jeden masz w Sydonie skład z tym towarem? Mówisz, żeś pracowity? — także dobrze. Ale i każdy niewolnik, chce czy nie chce, musi być pracowity. Coś ty lepszego niż niewolnik? Żeś uczciwy? O wa! Dwa dni temu odniosłeś drachmę,

którą ci za warzywo nadpłacił mój podstarości, boś myślał, że mnie tem ujmiesz. Ale dajmy na to, żeś uczciwy — to i co? Dlaczego ja miałbym cenić więcej uczciwą nędzę, od uczciwego bogactwa? Człowiek uczciwy, a przytem bogaty, pachnie nardem, albowiem ma na to, by się nim codzień namaścić, twoją zaś uczciwość czuć nawozem, który do śmierci będziesz przewracał, gdyż nic innego nie potrafisz.

— Umiem grać na cytrze! — zawołał nieszczęśliwy Abdolonim.

— Lepiej dla ciebie byłoby o tem nie mówić — odpowiedział Marhabal. — To się podobać może mojej córce, nie mnie. Wiem, że u Greków, kto nie gra na cytrze, ten uchodzi za prostaka i barbarzyńcę. Są tam ludzie, którzy nic innego nie czynią, a jednak otacza ich sława i — choć trudno temu uwierzyć — otacza ich szacunek większy, niż cieślów, którzy budują okręty, a nawet niż kupców. Ale Grecy, to naród dzieci, nasz zaś Sydon, to miasto poważne i zamieszkałe przez ludzi rozsądnych. Co do mnie, uważam, że człowiek młody, zdrów i silny, który zamiast pracować, gra na jakimś instrumencie, lub pisze wiersze — bo i tacy bywają u Greków — zasługuje na równą pogardę jak wróbel, który ćwirka na dachu, bez żadnego dla nikogo pożytku. To też gdybyś był tylko muzykiem lub poetą, byłbym cię kazał odrazu zrzucić ze schodów, rozsądnemi bowiem słowami nie przemawia się do półgłówków.

— Więc nie mogę mieć żadnej nadziei! — zawołał Abdolonim.

— Nadzieję, jeśli ci się tak podoba, możesz mieć, ale nie możesz mieć i nie będziesz miał mojej córki. Sam powiedziałeś, że twoja prośba jest szaloną, a ja dowiodłem ci jak dwa a dwa: cztery, że jest prócz tego niedorzeczną, a nawet głupią, a zatem, czegoż tu jeszcze czekasz?

— Marhabalu — rzekł Abdolonim — nie chciałem mówić ci o tem, co nie jest moją zasługą, ale może słyszałeś, że chociaż tak prawie ubogi, jak niewolnik, pochodzę jednak z rodu dawnych królów sydońskich i że w całej Fenicyi niemasz człowieka, w którymby płynęła szlachetniejsza krew od mojej.

Na to Marhabal zastanowił się znów przez chwilę, poczem rzekł ze zwykłą sobie rozwagą:

— Słyszałem i — jakkolwiek nie uważam tego za rzecz zu-

pełnie pewną, przyznaję, że to jest coś. To tłomaczy poniekąd twoją zuchwałość i zarazem jest drugim powodem, dla którego nie kazałem cię zrzucić ze schodów. Jest zaiste w Sydonie wielu kupców, którychby olśniło twoje królewskie pochodzenie. Ale ja, chociaż sam nie należę do gminu i szanuję tradycyę (przyzwoici ludzie powinni ją zawsze szanować) — w interesach jestem, jak ci to już nadmieniłem, przedewszystkiem realistą. Powiem ci więc, że gdybyś ty pochodził z rodu ogrodników, a stał się królem, oddałbym ci bez wahania moją córkę, albowiem, po pierwsze: mógłbyś mnie zrobić dostawcą dworu, o co starałem się napróżno jeszcze za króla Stratona, a powtóre: musiałbym przyznać, że ktoś kto potrafił zmienić motykę na berło, ma głowę do interesów lepszą nawet od mojej. Ale jeśli ty, pochodząc z rodu królów, klepiesz taką samą biedę jak twój ojciec i jesteś tylko ogrodnikiem, to co ja mam o tem pomyśleć? Oto, że się losem swoim zadawalniasz. Z tych wszystkich przyczyn, powtarzam ci jeszcze raz, że nie dam ci córki — i nadto, zapowiadam, abyś nie pokazywał się więcej w domu moim, chyba, że przez wdzięczność za naukę, jaką ci dałem, opuścisz mi przynajmniej dziesięć procent na rzodkwi i cebuli.

Usłyszawszy to, Abdolonim rozdarł swoją i tak już podartą opończę i byłby niezawodnie posypał swą głowę kurzem i popiołem, gdyby nie to, że w domu porządnego kupca sydońskiego nie było na podłodze ani kurzu, ani popiołu.

* * *

Lecz gdy w Sydonie księżyc zeszedł a psy się uśpiły, różana Thalestris stanęła nagle w przebraniu młodego eunucha przed Abdolonimem, który płakał w swoim ogródku, grając na cytrze — i załamawszy ręce, zawołała:

— O, Abdolonimie! — wszystko przepadło, cała nadzieja za nic!

— Za nic! — jęknął młodzian.

I wydobywszy odpowiednio żałosny dźwięk ze strun cytry, odstawił ją na bok, a natomiast chwycił w objęcia dziewczynę i począł całować jej umalowane henną powieki.

A gdy słodycz pieszczoty ukoiła nieco ich zbolałe serca, zapytał:

— Czy mówiłaś z ojcem, Thalestris i czy gniew jego nie spadł na twoją lubą głowę?

— Ojciec nie gniewał się — odpowiedziała — ale położył mnie na kolanie, i osmagał do krwi łodygami róż twoich, abym poznała, że w darach twoich mieści się nie radość dla mnie, lecz boleść!...

— Bogowie! — zawołał z rozpaczą, a zarazem z zapałem Abdolonim — pozwól mi ucałować twe rany!

Lecz dziewica spuściła oczy.

— Nie Abdolonimie, na to nie mogę pozwolić...

Nastała chwila milczenia, tylko słowiki sydońskie, ukryte w cyprysach, posypywały jakby gradem pereł ogród i oboje kochanków.

— Abdolonimie... — szepnęła dziewica.

— Słucham cię, lilio Libanu.

— Oto przekupiłam stróżów i wykradłam się z domu, aby ci powiedzieć, że bez ciebie śmierć milszą mi będzie od życia.

— A więc umrzyjmy razem, Thalestris.

— Otrujmy się, Abdolonimie.

— Mam w piwnicy placki, przygotowane z cykuty i miodu na szczury, które niszczyły owoce pracy mojej. Spożyjmy je i zstąpmy razem w krainę cieniów.

— Niech się tak stanie — odrzekła Thalestris.

Więc Abdolonim wstał, aby pójść po zabójcze placki, lecz dziewica położyła mu rękę na ramieniu.

— Zorze wieczorne zgasły niedawno — rzekła — do świtu daleko, a noc tak wonna i cudna. Wkrótce wieczysta ciemność pokryje oczy nasze, więc jeszcze popatrzmy na te światła niebieskie, które nad nami migocą.

I złożyła mu głowę na ramieniu, poczem, zwróciwszy źrenice na księżyc, poczęła do niego przemawiać głosem cichym i smutnym:

— Tanit, Tanit, o ty blada i czysta bogini, która płyniesz teraz jak łódź srebrna nad sennym Sydonem, czemuż to świecisz nam po raz ostatni?...

A Abdolonim:

— Ty, która co miesiąc umierasz i zmartwychwstajesz, uśpij nas, a potem zbudź do nowego życia.

— Albo obejmij nas srebrną siecią twoich promieni i pociągnij nas ku sobie...

— Albo zmień naszą miłość w twój blask własny, aby nie zmarła razem z nami, bo nie życia nam żal, lecz miłości...

— O Tanit!

— O Tanit!

Nastała znów cisza, tylko cyprysy trzęsły się od pieśni słowiczych.

Thalestris siedziała przez czas jakiś bez ruchu z przechyloną w tył głową i otwartemi ustami, rzekłbyś podając je księżycowi, lecz nagle drgnęła i rozbudziła się jakby ze snu.

— Gdzie ja jestem? — spytała.

— Przy sercu mojem — odpowiedział młodzieniec.

— Wszakże my mamy umrzeć, Abdolonimie?

— Tak jest, o piękna moja.

— Kochasz-że ty mnie?

Abdolonim przyciągnął ją ku sobie, wpił się ustami w jej usta i pozostali tak, póki im nie zbrakło oddechu.

Poczem zaszemrał znów głos Thalestris, podobny do szmeru strumyka:

— Abdolonimie, wszak śmierć wszystko rozwiązuje i od wszystkiego wyzwala?...

— Wyzwala... — potwierdził młodzian.

A ona mówiła dalej:

— Więc jeśli śmierć wszystko rozwiązuje i od wszystkiego wyzwala, to... to co, Abdolonimie?...

— Co chcesz powiedzieć, luba moja?

Thalestris przysłoniła oczy dłonią tak białą, jak kwiat jaśminu.

— Ach! nie myśl tylko nic złego!...

Wówczas on spojrzał na nią i choć niebawem mieli umrzeć, widocznie jednak zatroskał się o jej zdrowie, gdyż rzekł:

— Rosa pada...

— Rosa pada — powtórzyła jak echo Thalestris.

— I chłód nocy dojmować już poczyna. Czy widzisz ten szałas, ukochana, który osłaniają jak płaszczem bluszcze i wiciokrzewy. Pójdź, piękna moja, pójdź przyjaciółko moja! Tam dreszcz nie przejmie twego lubego ciała i umierać nam będzie zaciszniej.

Więc ona posłuszna słowom kochanka, wstała i wsparta na jego ramieniu, poczęła iść ku szałasowi, powtarzając jakimś dziwnym, sennym, nawpół do śpiewu podobnym głosem:

— Ro-sa pa-da, ro-sa pa-da...

I znikli pod płaszczem bluszczów. Słowiki umilkły. Natomiast wierny osiołek, którym Abdolonim rozwoził warzywo po Sydonie, jął niewiadomo dlaczego odzywać się wśród nocy swym przeraźliwym, do śmiechu podobnym rykiem:

— Hi-hau, hi-hau! hi-hau!

* * *

Księżyc, który jakoś nie zauważył gdzie się podzieli, szukał ich długo w ogródku. Pełzał po ścieżkach, schodził ze ścieżek, rozświecał grzędy kwiatów, zaglądał w bruzdy między zagonami rzodkwi i cebuli, osrebrzył ściany szałasu i chciał nawet zajrzyć do wnętrza, ale, nie mogąc przebić się przez gęstwę bluszczów i wiciokrzewu, znudził się wreszcie próżnem poszukiwaniem i popłynął w stronę Tyru, ku morzu.

A oni, wśród wiązek wonnego szafranu, przygotowywali się na wspólną śmierć — i przygotowywali się dopóty, dopóki nie rozbudziły ich gromkie okrzyki, które rozległy się nagle przed bramą ogródka.

Wówczas wypadli z szałasu — i trwoga, a zarazem i zdziwienie ogarnęły ich na widok, jaki przedstawił się ich oczom.

Oto czerwony blask pochodni rozjaskrawił ulicę, kraty ogródka, palmy i cyprysy, a przed bramą roił się i kołysał tłum ludzi.

— To ojciec przysyła mnie szukać! — krzyknęła w przerażeniu Thalestris.

— Schroń się do szałasu! — zawołał Abdolonim.

I porwawszy łopatę, jaka znalazła mu się pod ręką, stanął gotów do obrony dziewicy.

Tymczasem część tłumu napełniła ogródek, ale zatrzymała się w pewnej odległości, jakby przejęta strachem na widok groźnej postawy młodzieńca — i tylko dziesięciu ludzi, przybranych w mitry i w uroczyste fenickie szlafroki, wysunęło się naprzód. Zdumiony Abdolonim poznał w nich dziesięciu najprzedniejszych sydońskich młodzieńców.

A oni, zbliżywszy się ku niemu, padli na twarz i przez chwilę leżeli bez ruchu, poczem podnieśli się i jeden z nich, trzymając na ręku płaszcz purpurowy, tak zaczął mówić:

— Witaj Abdolonimie Pierwszy, potomku krwi królewskiej, władco Sydonu i Libanu, a nas wszystkich panie i królu.

Tu znów przyklękli, a za ich przykładem tłum, stojący opodal, rzucił się także na kolana, powtarzając:

— Witaj, witaj, Abdolonimie Pierwszy!

Abdolonim patrzył czas jakiś osłupiałemi oczyma to na ich twarze, to na ich mitry, to na płonące pochodnie, aż wreszcie, opamiętawszy się nieco, pomyślał, że to zapewne panicze sydońscy, podpiwszy na jakiejś uczcie, postanowili sobie wyprawić igraszkę z biedaka, więc zapytał z goryczą i gniewem:

— Czego szukacie i czego chcecie, o dostojni, w moim ogrodzie?

— Panie — odpowiedział ten, który przemawiał poprzednio: — Aleksander, monarcha świata, kazał Hefestyjonowi, po wypędzeniu Stratona, mianować nowego króla w Sydonie. A ponieważ na mocy odwiecznych praw sydońskich, ten tylko może nad nami panować, w czyich żyłach płynie krew dawnych władców, przeto będąc w obozie u Hefestyjona, wskazaliśmy na ciebie, albowiem zarówno ród twój, jak twoja skromność i twe wielkie cnoty czynią cię godnym sydońskiego berła i tronu.

Lecz Abdolonim, nie wierząc jeszcze słowom mówcy, odpowiedział:

— Ród mój istotnie jest królewski, przeto źle i niebacznie czynicie, jeśliście przyszli urągać biedakowi, który, wiedzcie o tem, ma śmierć w sercu, a łopatę w ręku.

Na to posłannik wyciągnął ku niemu płaszcz purpurowy i rzekł z wielką powagą:

— Abdolonimie, zbudź w swej duszy godne króla uczucia; porzuć zwątpienie i porzuć swą brudną opończę. Obmyj, panie, ręce i oblicze z prochu ziemi — i wdziej ten płaszcz, który ci w imieniu Aleksandra i całego narodu sydońskiego przynoszę. A gdy zasiądziesz na stolcu sydońskim, jako pan życia i śmierci wszystkich obywateli, wspomnij wówczas niekiedy na stan swój poprzedni, nie daj opętać się dumie i zachowaj te wszystkie cnoty, które cię dzisiaj na tron wyniosły [1]). Żyj nam i panuj, o źrenico Baala — i niech jutrzejsze słońce już nie w tym ubogim ogrojcu, ale w twoim królewskim zamku ci zaświeci.

---

[1]) Przemówienie powyższe jest niemal dokładnym przekładem z Quint. Curtiusa, który w dziele „*De rebus gestis Alexandri magni*“, opisuje w ten sposób powołanie na tron sydoński młodego i ubogiego ogrodnika Abdolonima.

— Żyj nam źrenico Baala — poczęły wołać tłumy.
— Wyniosły cedrze libański!
— Koziorożcu wspaniałomyślny!
— Baranie, przewodniku stada!
— Żyj i władaj!
— Rządź, karz i wynagradzaj!

* * *

Abdolonim musiał uwierzyć:

Nie udał się jednak zaraz na zamek, oświadczył bowiem, że przedtem pragnie pomodlić się do bogów domowych, których opieka okazała się tak przemożną i rozmówić się w ciszy i samotności z własnem sumieniem. Ale gdy ulica i ścieżki ogródka opustoszały, odłożył na czas dalszy rozmowę z bogami i sumieniem, a natomiast, objąwszy usta dłońmi, zawołał po dwakroć przyciszonym głosem:

— Thalestris! Thalestris!

Dziewica wybiegła z szałasu.

— Jestem panie!

— Słyszałaś?

— Słyszałam i... padam na twarz przed królem moim.

Ale on zatrzymał ją i rzekł:

— O Thalestris! nie potrzebne nam już placki z cykutą.

— Tobie, panie — odpowiedziała — nie wolno umierać, albowiem losy Sydonu złożone są w twoich rękach, jeśli jednak i mnie umrzeć nie pozwolisz, cóż się teraz stanie ze mną nieszczęsną?

A Abdolonim przygarnął ją i począł mówić z wielką słodyczą, lecz już i z powagą królewską:

— Słuchaj Thalestris. Rozum kupiecki twojego ojca okazał się ślepy i głupi, ale twoja miłość była mądrą i widziała przez zasłonę przeznaczenia. Wszelako, zanim powtórzysz ojcu swemu te moje słowa i zanim mu powiesz, że mu król Sydonu przebacza, wiedz o tem, że jesteś królową króla.

Usłyszawszy to, dziewica przechyliła się, jak kwiat podcięty, na rękach kochanka, albowiem czułe jej serce, nie mogąc znieść nadmiaru szczęścia, na chwilę całkiem bić przestało.

Więc Abdolonim wniósł ją znowu do szałasu, aby dołożyć tam wszelkich tkliwych starań, które mogły jej wrócić przytomność.

* *
*

Marhabal, który jako człowiek roztropny i dbały o zdrowie, chodził spać wcześnie, nic nie wiedział co stało się podczas nocy w Sydonie. Ale gdy wieścionośna Ossa, obiegając od świtu całe miasto, zapukała z nowiną i do jego pałacu, zmartwiał tak ze zdumienia i trwogi, że siadł na ziemi, objął dłońmi wielkie palce swych nóg i pozostał w tej postawie tyle czasu, ile jest potrzeba do przerachowania pięciuset worów z wełną.

Aż gdy wreszcie przyszedł do siebie, przedewszystkiem zadał sobie pytanie:

— Co teraz będzie?

I ponieważ miał zwyczaj zastanawiać się nad każdem położeniem głęboko — i jasno zdawać sobie z niego sprawę, przeto otrzeźwiawszy zupełnie, począł tak rozumować:

— Abdolonim pomści się na mnie, gdyż nazwałem go niewolnikiem i kazałem mu pójść precz z domu. Zatem skaże mnie na śmierć, zagrabi mój majątek, a jeśli Thalestris nie wywietrzała mu wobec nowej godności z głowy, to weźmie ją jako niewolnicę do swego zamku. — Próżnobym się też łudził, że tego wszystkiego nie uczyni, gdyż został królem i uczynić to może. Jest to rzecz okropna, ale nieunikniona. Życie bez majątku jest wprawdzie gorsze od śmierci, a jeśli przychodzą takie czasy, w których łokciem zdrowego rozumu nie można mierzyć ani wypadków, ani ludzi, to nic po mnie na świecie. Bo skądże ja mogłem przewidzieć, że ogrodnik zostanie królem. Znikąd. — Takich rzeczy może spodziewać się tylko ten, komu brak piątej klepki. — Wszystko to jest prawda, jak również i to, że każdy człowiek musi umrzeć. A jednak śmierci się boję i nawet boję się bardzo. Inaczej nie czułbym tych mrówek, które mi chodzą po plecach i nie słyszałbym tych głuchych odgłosów we wnętrznościach. Ale czy jest na to rada? Niema. — Są wszelako różne rodzaje śmierci. — Zapewne, że zaszczytniej jest być usmażonym w oleju, niż przybitym na krzyż, albowiem garniec oleju kosztuje pięć drachm fenickich, a krzyż można zbić z dwóch starych belek. Ale śmierć na krzyżu jest lżejsza, wskutek czego wolałbym być ukrzyżowanym, niż usma-

żonym. Fatalnie się też stało, żem mówił coś Abdolonimowi o patelni. Któż jednak mógł odgadnąć, że *wczoraj* będzie tak do *dziś* niepodobne. Wczoraj omal nie kazałem zrzucić Abdolonima ze schodów za to, że chciał się z moją córką żenić, a dziś wypada mi chyba prosić bogów, aby jaknajprędzej zabrał ją jako niewolnicę, bo może znalazłaby sposobność, aby się za mną wstawić. W każdym razie trzeba mi teraz pójść do niej, by ją pożegnać i pouczyć, co ma królowi powiedzieć. Oćwiczyłem ją wprawdzie wczoraj łodygami róż dość dotkliwie, ale jeśli odziedziczyła po mnie choć szczyptę rozsądku, powinna przecież zrozumieć, że ojciec, który jest niezadowolony z wyboru córki, ma prawo i obowiązek w jakiś sposób jej to okazać. Tak jest! Nie chcę się łudzić, ale cała moja nadzieja w Thalestris i trzeba jak najprędzej z nią się rozmówić.

Przemawiając tedy w ten sposób do własnej duszy stroskanej, udał się do pokoju dziewicy, która po wrażeniach ubiegłej nocy spała tak silnie, że zaledwie zdołał się jej dobudzić.

— Thalestris, dziecię moje — rzekł uroczyście — otwórz oczy i uszy, albowiem nieszczęśliwy twój ojciec, który jest w obliczu śmierci, przychodzi pożegnać się z tobą i udzielić ci ostatniego błogosławieństwa.

Tu powiedział jej wielką nowinę nocy oraz to wszystko, o czem poprzednio w duszy rozmyślał. Lecz ona słuchała go jednem uchem, przeciągając się rozkosznie i leniwie, a w końcu, rozbudziwszy się dobrze, ukryła nagle swą jasną twarz w poduszkę i wybuchnęła śmiechem tak dźwięcznym, jak gdyby kto rozsypał szklanne paciorki na marmurową podłogę.

— Wyrodna córko! — zawołał z oburzeniem Marhabal. — Ty śmiejesz się, gdy twój nieszczęśliwy ojciec, który jest w obliczu śmierci, przychodzi, aby pożegnać...

Ale nie zdołał skończyć, gdyż Thalestris zerwała się z purpurowej pościeli tak szybko, jak ptak zrywa się z pośród kwiatów i objąwszy szyję ojca, cała różowa, do spłonionej jutrzenki podobna, poczęła jednym tchem mówić:

— Ojcze, król przebaczył ci wczoraj, a mnie powiedział, że jestem królową króla!

Marhabal zmienił się w posąg kamienny i dopiero po długiej chwili rzekł:

— Wróć do łóżka Thalestris, albowiem nogi tak mi osłabły‘ że muszę usiąść.

Więc Thalestris wskoczyła znów do pościeli, a on siadł przy niej, zdjął myckę, przeciągnął raz i drugi ręką po ogolonej głowie i zapytał:

— Toś ty widziała króla?

— Widziałam.

— Kiedy?

— Dzisiejszej nocy.

— Był u ciebie?

Dziewica ukryła znów twarz w poduszkę.

— Nie, ja byłam u niego!

Nowe milczenie.

— Przed obiorem, czy po obiorze? — zapytał zmienionym głosem Marhabal.

— I przed obiorem i po obiorze.

— Uf!...

. . . .

— Thalestris!

— Słucham, ojcze...

— I ty... i ty powiadasz, że monarcha taki był łaskaw dla ciebie?...

— O! i jak jeszcze!

— Nie chowaj twarzy w poduszki... Czy on był łaskaw przed obiorem, czy po obiorze?

— I przed obiorem i po obiorze.

— Uf!...

. . . .

Thalestris przestała istotnie kryć twarz w poduszki, albowiem spostrzegła, że oblicze ojca rozjaśnia się coraz bardziej w miarę rozmowy i staje się poprostu wesołe.

Jakoż Marhabal uśmiechnął się w końcu, nietylko wesoło, ale figlarnie. Pogroził córce palcem, chwycił ją lekko za ucho i, pochyliwszy się ku niej, zapytał:

— ...A jak ty myślisz? Kto będzie dostawcą waszego dworu?...

Henryk Sienkiewicz.

Notatki.

Los nie oszczędził nam tego, by tragiczne nasze położenie polityczne w Warszawie nie miało nabrać komicznego zabarwienia. Komizm tkwi w postaci p. Wł. Studnickiego, w jego głośnym dzisiaj zamachu stanu. W każdem społeczeństwie są waryaci, a nasze szczególnie ciężkie warunki bytu sprzyjały rozpowszechnieniu się typu waryatów politycznych. Zazwyczaj należą oni do kategoryi nieszkodliwych, ale trafiają się i groźne wypadki. Takim był pan Studnicki, którego maniactwo polityczne było już przed wojną groźne ze względu na jego ruchliwość, wiedzę i bezskrupulatność. Dzisiaj jego działalność przejawiła się w takich czynach, że na ich podstawie nietylko zawodowy psychiatra, lecz każdy laik łatwo stwierdzi niepoczytalność sprawcy. I dzisiaj szerszy ogół widzi tylko stronę komiczną tego „zamachu stanu“. Ale zarazem cała postać p. Studnickiego rzuca tragiczny cień na nasze życie polityczne.

Otóż wiedziano dobrze kim jest p. Studnicki, a mimo to traktowano na seryo jego działalność, co więcej, liczono się z nim bardzo poważnie. Łatwo można sobie wytłómaczyć, że czynniki obce nie poznały się na rozmiarach jego wpływów i darzyły go swojem poparciem. Dziwnem coprawda było, skąd p. Studnicki znalazł się na audyencyi u Bethmanna Hollwega, ale ostatecznie ta dyplomacya nie odznaczała się nigdy starannym doborem zagranicznych narzędzi, a zresztą chodziło tu o stworzenie pozorów poparcia polskiej opinii dla pewnych aktów, do tego zaś mógł wystarczyć i p. Studnicki. Natomiast niewytłómaczonem jest zachowanie się polskich czynników politycznych. Gdy wybuchła wojna i zaczęto robić propagandę prasową zagranicą, w gronie dyplomatów polskich odrazu znalazł się p. Studnicki. Nie brakło na jego wyjazdy

funduszów, zebranych na ogólno-narodowe cele publiczne. Chociaż p. Studnicki w r. 1915 i 1916 ogłaszał broszury, w których wyrzekał się ziem polskich, pozostających pod pruskiem panowaniem, w których co więcej, aprobował wszechniemieckie plany wysiedlenia ludności polskiej, to mimo to nie zerwano z nim w Warszawie stosunków politycznych, przeciwnie, wyrósł na jednego z kierujących mężów tamtejszego aktywiwizmu. Nic w tem dziwnego — w tem szczupłem gronie każdy nowy nabytek, każde nowe nazwisko było chętnie witane, a p. Studnicki przynajmniej miał bogatą polityczną przeszłość i zdolności publicystyczne. Wszedł odrazu do Tymczasowej Rady Stanu. W tym czasie dał się poznać z memoryału, który obcym władzom proponował pobór, wprowadzenie obcej administracyi, konfiskatę majątków „zdrajców" i ich wywiezienie. W ciągu paru lat dał się poznać wszystkim. To też nikt nie przypuszczał, że jego nazwisko może się nadal znaleść w naczelnych polskich instytucyach w Warszawie. Ku powszechnemu zdziwieniu, rząd polski zamieścił p. Studnickiego między czterdziestu kilku wybranymi synami ojczyzny, na których spadła godność „mianowanych" członków Rady Stanu!

Nie wiadomo dzisiaj, jakie faktycznie rozmiary przybrało sprzysiężenie p. Studnickiego. Ale to jest wiadomem, że politycy, chcący uchodzić za poważnych, komunikowali się z nim bez przerwy. Wiadomem jest, co zeznał sam p. Studnicki: oto na zebraniu u „ambasadora" Rady Regencyjnej, p. Al. Lednickiego, oczywiście obecnym jest p. Studnicki i na tem zebraniu mówi on w „formie paradoksu", „żartem", o wywiezieniu tejże „Rady Regencyjnej". Osobliwe żarty w obecności tych, którzy mówią wiele o majestacie polskiego państwa, którzy proponowali zastosowanie rosyjskiej katorgi za obrazę, dokonaną na polskiej władzy.

A więc niepodobna odpowiedzialności za wszystko zwalać na p. Studnickiego i jego bezpośrednich wspólników. Odpowiedzialni są ci, którzy osobę p. Studnickiego mimo wszystko, przez lat tyle sztucznie podtrzymywali przy życiu politycznem. Dlaczego to robili? Wytłomaczenia tego faktu trzeba szukać w jaskrawym braku charakteru politycznego, w uległości wobec zachceń podrzędnych nawet organów obcych, która nosi nazwę: „państwowotwórczej pracy".

* * *

Jest rzeczą dobrze znaną wszystkim, że zanim naprawdę uzyskać zdołamy połączenie polskich terytoryów, musimy wewnętrznie skupić się i zlać w jedną całość, sami dokonać prawdziwego duchowego zjednoczenia. Tak pojęty problem oczywiście wymaga od nas bardzo wielu męskich wysiłków, by osłabić działania zaborów, które u wielu jednostek zaczęły zacierać uczucie ogólnej wspólności, wzbudziły przywiązanie do układu stosunków, wytworzonego pod wpływem stopniowej ewolucyi, która systematycznie ustalała dzielnicowe odrębności. Okazuje się, że nieprzerwane życie na terenach obcych wpływów ugruntowało wiele przeciwieństw pomiędzy zaborami, które uwydatniły się tak silnie w ciągu teraźniejszej wojny. Dowodem uległość wobec obcych, około których bardzo wiele naszych tronnictw bezustannie szukało sobie poparcia. Dziś się zbudziła reakcya przeciw duchowi rozkładu, który organizm narodu, zamiast uzdolnić go do jednolitego życia, faktycznie znieczula, a zarazem niszczy w nim te pierwiastki, które zwiększają odporność na agitacyę, idącą z zagranicy.

Niewątpliwie jest źle, żeśmy to niebezpieczeństwo spostrzegli niezbyt wcześnie. Trzeba było, by wojna w niezmiernie dotkliwy sposób uwydatniła tak liczne niestety rysy na jednej przedtem całości. Ale dziś już zewsząd słychać zapowiedzi zwrotu na lepsze. Nie zawdzięczamy jednak tego coraz żywszego ocknięcia się poczucia solidarności narodowej, czynnikom związanym z okupacyą. Zwiększyła raczej ta okupacya przeszkody, które przedzielały od siebie różne części narodu. Ale wielkie niebezpieczeństwo zewnętrzne, a zarazem ustawiczne klęski, wytworzyły atmosferę, sprzyjającą silniejszym związkom między częściami, niezbyt dawno temu jeszcze obcemi sobie. Akcya, która chce pogłębić wspólność narodową, złączyć w jedną mocną całość i umiejętnie nadać jeden kierunek naszym działaniom zewnętrznym, musi się zdobyć na coraz czynniejsze ujednostajnianie różnic, wyrosłych między dzielnicami, oprzeć się musi na świadomych wysiłkach organizacyjnych, które wywołują utwierdzanie wewnętrznej jedności. By naprawdę uzyskać zjednoczenie, trzeba rozbudzać instynkty wspólności, a ze wszystkich sił chcieć, a co ważniejsze, trzeba i umieć przeprowadzić wewnętrzne duchowe, zespalające wszystkich zjednoczenie narodu. To dążenie, byśmy prędzej zrośli się w jedną zupełnie spójną całość, ma doniosłość olbrzymią. Będzie ono niezawo-

dnie czynnikiem, który ostatecznie rozwój nasz ocali, skupiając nasze siły. *X.*

* * *

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Drodzy bracia Polacy! Wysłaliście niedawno na uroczystości jubileuszowe czeskiego Teatru Narodowego do Złotej Pragi słowiańskiej szereg przedstawicieli, wybitnych liczbą i znaczeniem, obchodziliście z iście braterską serdecznością wielkie nasze święto narodowe, połączyliście się z nami tak pamiętnym ślubem wierności, że kroniki narodu czesko-słowackiego nigdy tego nie zapomną. Delegatom Waszym towarzyszyło do naszej macierzy Pragi setki gorących, wzruszających pozdrowień ze wszystkich krańców Waszej Ojczyzny; piękno, oddanie, zapał tryskały za owych dni z Waszych pism ojczystych i czuliśmy, że w tej chwili dla nas biły wszystkie braterskie serca Waszego drogiego Narodu.

Nie możemy podziękować każdemu z osobna tym wszystkim, którzy bądź zawitali do Pragi, bądź wspomnieli o nas, śląc pozdrowienia, bądź przypomnieli nas w jakikolwiek sposób swemu Narodowi. Ślemy więc do pięknej Waszej Ojczyzny to wspólne pozdrowienie, a z niem gorące dzięki za wszystko, co nas tak w ostatnich dniach zbliżyło, za Waszą miłość braterską, za wszystkie wyraźne jej dowody, za Wasze śluby, że nasz bój jest zarówno Waszym, że wolą naszą jest spoić się silnie i nierozłącznie dla dobra i wolności Ojczyzny, że z każdym dniem skuteczniej pokonywać będziemy przeszkody, które nas po dziś dzień na własną szkodę, a obcą korzyść, dzieliły. Wierzymy, Kochani Bracia, tym wszystkim obietnicom, jakieście wobec nas wypowiedzieli, a choć może czeka nas na drodze do wspólnego celu wiele jeszcze zawodów, wiemy dzisiaj i najświęciej w to wierzymy — Wy i my, — że godzina nasza już bliska, a im ściślej dochowamy sobie wzajem wierności, tem rychlej wybije!

Dzięki Wam, Drodzy Bracia, i do szczęśliwego zobaczenia może niezadługo w Ojczyźnie Waszej i naszej!

Praga Czeska, d. 1. czerwca 1918 r.

Związek Czeski w Radzie państwa. Czeska Rada Narodowa.
Komitet uroczystości jubileuszowych Teatru Narodowego 1868—1918.

Powyższy list zamieszczamy tem skwapliwiej, że nie użyczyło mu niestety gościnności wiele codziennych pism polskich. Godząc się najzupełniej z myślami, w nim wyrażonemi, zaznaczamy, że problem stosunków polsko-czeskich omówimy tak, jak on na to zasługuje, w jednym z następnych numerów „Roku Polskiego“.

* * *

Korespondent poznańskiej „Gazety narodowej“, omawiając przemówienie Marszałka na otwarciu Rady Stanu, przytacza ten jego ustęp, w którym p. Fr. Pułaski stawia pytanie: Czy zdołamy się przeciwstawić niszczycielskim zapędom, które zagrażają narodowej kulturze i nagromadzonym przez wieki zdobyczom cywilizacyi? Do ustępu tego dodaje korespondent następujący komentarz: „Marszałek wierzy, że zdołamy. Ale jednak, choć tego nie przepowiedział, niejeden słuchacz czuł pewno w jego słowach to, co się myśli często w głowach polskich obecnie, a co nieraz i usta polskie w prywatnych rozmowach wyrażają: iż przyjazny, a nawet i sprzymierzeńczy stosunek z centralnem państwem, najlepiej zorganizowanem z państw świata, może dla nas stanowić nader pożyteczną ostoję w walce z anarchią wschodnią, przedstawiającą dla Polski stokroć większe niebezpieczeństwo, aniżeli jakiekolwiek z dotychczas nam grożących“.

Trzeba żywić wdzięczność dla korespondenta poznańskiego pisma, że wypowiedział wyraźnie to, co niektórzy „neoaktywiści“ nieraz ukryć usiłowali. Uwydatnił on pobudki politycznego działania wielu czynników, które nam tłomaczą niejeden krok polityczny, w innych warunkach niezrozumiały. Mamy tu typową psychologię myślenia politycznego, którego głównym podkładem jest strach przed społecznym przewrotem.

Otóż najpierw stanowczo trzeba się zastrzedz przeciw temu, by niebezpieczeństwo wschodniej anarchii było najważniejszą z gróźb, które wiszą nad naszem życiem narodowem. Póki trwa okupacya, jest tylko „najważniejsze“ niebezpieczeństwo: możliwość ograniczenia i związania niepodległego bytu polskiego państwa. Byłoby to największe nieszczęście, któreby nas mogło spotkać, a wszelkie inne groźby zejść muszą na plan dalszy. Jeżeli ktoś stoi na szczerze narodowem stanowisku, nie powinien momentów s p o ł e c z n y c h,

w których odzwierciadla się gra klasowych interesów, wysuwać ponad polityczne momenty, rozstrzygające o całym bycie narodowym.

Następnie najfałszywszą jest droga, którą obierają żywioły, wspomniane w cytowanej korespondencyi, by obronić się przed „wschodniem niebezpieczeństwem". Proponuje się wyraźnie jako główne lekarstwo: przyjazny, a nawet sprzymierzeńczy stosunek z najlepiej zorganizowanem z państw świata. Najlepsza organizacya sprzymierzonego państwa nie jest gwarancyą, że i drugi uczestnik przymierza podobną organizacyę potrafi u siebie rozwinąć. Ustrój państwowy i stopień zorganizowania się społeczeństwa są wypływem ducha narodu, a nie konsekwencyą zawieranych przymierzy. To, co jest dobrem na jednem miejscu, może być złem na innem. Państwo należy budować od wewnątrz, a nie przez oparcie go o zewnętrzne rusztowanie. Może się łatwo zdarzyć, że silna organizacya państwa sąsiedniego może być właśnie czynnikiem dezorganizacyi drugiego państwa, może na nie działać w sposób odśrodkowy.

Zazwyczaj przyjazne stosunki sąsiedzkie, a nawet międzynarodowe przymierza, nie wywołują tak głębokich skutków społecznych na wewnątrz, jakich spodziewają się wspomniane warszawskie sfery. Przymierze opiera się na zasadzie nieinterwencyi w stosunki wewnętrzne sprzymierzeńca. Chyba, że ten związek jest tylko pozornie przymierzem, w rzeczywistości zaś ścisłym związkiem prawno-państwowym, ograniczającym udzielność jego uczestników. Jeżeli o tem myślą owe warszawskie żywioły, to czy zastanowiły się nad ceną, jaką chcą ofiarować za utrzymanie społecznego ładu i porządku w kraju? Czy wolno im dla obrony klasowych interesów rzucać na targ udzielność polskiego państwa?

Możnaby jeszcze wiele krytycznych uwag wypowiedzieć pod adresem tych pomysłów. Możnaby wskazać, że ten czynnik obcy, na którego poparcie się liczy, niekoniecznie musi mieć interes w tem, by zorganizować, by wzmocnić swojego sąsiada. Tak sielankowo zazwyczaj nie układają się stosunki międzynarodowe, o czem zresztą uczą nas nasze dzieje. Możnaby podnieść wątpliwość, czy nawet przy najlepszej woli, to państwo „najlepiej zorganizowane z państw świata", nie jest przypadkiem najgorszym organizatorem, gdy ma do czynienia z narodami obcymi, których psychologii nie rozumie. Ale zamiast tych rozumowań, wskażmy na zna-

mienny krok miarodajnych czynników w Kurlandyi; na zapowiedź wywłaszczenia obszarów, większych nad 300 morgów. Czy tego rodzaju reform, przeprowadzanych przez „najlepiej zorganizowane państwo na świecie“, oczekują od niego nasi warszawscy aktywiści „umiarkowanego“ odcienia?

* * *

Oświadczenie rządu warszawskiego wywołało wielką reakcyę w społeczeństwie polskiem. Podajemy niektóre deklaracye w tej sprawie:

a) Deklaracya Koła międzypartyjnego w Warszawie:

„Wobec rezolucyi, powziętej na Zjeździe Prezesów-Ministrów Francyi, Anglii i Włoch w Wersalu, stwierdzającej, że „jednym z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz panowania prawa w Europie jest utworzenie jednego, jedynego, zjednoczonego niepodległego Państwa Polskiego z wolnym dostępem do morza“, niżej podpisane stronnictwa, należące do Międzypartyjnego Koła politycznego, oświadczają, że rezolucya powyższa znajdzie żywy oddźwięk w duszy narodu polskiego, który w ciągu przeszło stu lat niewoli dążył niezłomnie do odbudowania ojczyzny , niepodległej, zjednoczonej.

Warszawa, 21. VI. 1918.

Stronnictwo Demokracyi Chrześcijańskiej.
Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe.
Zjednoczenie Narodowe.
Polska Partya Postępowa.
Związek Niezależności Gospodarczej.“

b) Deklaracya Związku międzypartyjnego w Krakowie:

Powołane przez Radę regencyjną, a zostające w zupełnej zależności do władz okupacyjnych Ministerstwo warszawskie Dra Steczkowskiego złożyło oświadczenie, skierowane przeciw uchwałom konferencyi wersalskiej, która uznała utworzenie zjednoczonej, nie-

podległej Polski z dostępem do morza za warunek pokoju i rękojmię jego trwałości. Ten powolny obcym interesom i żądaniom krok pozornego rządu Królestwa Polskiego jest nietylko sprzeczny z zapewnieniami, danemi przy objęciu stanowiska przez prezydenta Steczkowskiego, ale także sprzeczny z interesem narodowym, albowiem poniża godność narodową i zwraca się przeciw przyrodzonym i historycznym prawom narodu, wbrew jego najgłębszym uczuciom i uprawnionym dążeniom jego najszerszych warstw. Istotne uczucia i niezłomna wola narodu znalazły wyraz w uchwałach Sejmowego Koła polskiego z 28 maja 1917, przyjętych przez całą Polskę z najżywszem zapałem, jako wytyczna linia polityki narodowej.

Uchwałę konferencyi wersalskiej, pokrywającą się z rezolucyami majowemi Koła Sejmowego, a zarazem zgodną z orędziem prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, przyjął przeto naród polski jako pożądany i ważny krok naprzód w sprawiedliwem rozwiązaniu sprawy polskiej na międzynarodowej podstawie.

Sprawozdania.

Kronika powiatu Zamojskiego. Dwutygodnik, Zamość. Kwiecień Nr. 1 i 2.

Do rzędu naszych pism prowincyonalnych przybyło w czasie wojny kilka nowych i bardzo wartościowych. Gdy w zaborze austryackim szereg pism przestał istnieć, a z istniejących jedna może tylko „Gazeta Podhalańska" obrazuje dzisiaj życie swego terenu, w Królestwie powzięto szczęśliwą myśl stworzenia organów, które, pozostawiając sprawy ogólniejszej natury centrom życia narodowego, obejmowałyby całokształt przejawów pracy i zabiegów ścislejszej okolicy. Tak powstała więc już przedtem „Kronika powiatu olkuskiego", dwutygodnik informacyjno-kulturalny i społeczny, a dotychczasowy jej rozwój świadczy bardzo wymownie o celowości inicyatywy.

Z kolei mamy do zanotowania ukazanie się „Kroniki powiatu Zamojskiego", zewnętrznym nawet wyglądem i układem zbliżonej do swej poprzedniczki. Pierwszy już zeszyt „Kroniki zamojskiej" przekonuje nas o trafności uwag, zamieszczonych na wstępie wydawnictwa, jak pożytecznym może być organ prowincyonalny, pojmujący skromnie i poważnie swoje zadania. Można go też przeczytać od deski do deski i po prostu nauczyć się znajomości pewnej połaci kraju. Dział poniekąd główny zajmują tu sprawy kulturalne dawnego grodu, który wszak drugą po Krakowie posiadał akademię. Seminaryum nauczycielskie, gimnazyum męskie i żeńskie, kursy rolnicze, powszechne lwowskie wykłady uniwersytetu i Politechniki w Zamościu, omówione treściwie, dają nam obraz dotychczasowych zabiegów i wyników na polu oświaty i nauki. Jeśli się zważy, że wszystko to umiano zorganizować i zbudować w przeciągu bardzo krótkiego stosunkowo czasu, częściowo już w drugim okresie wojny, to nabiera się tem silniejszej wiary w pochód zdrowego prądu na polskiej ziemi. Przyczynki historyczne z przeszłości, ciekawy materyał gospodarczy (szkody wojenne powiatu hrubieszowskiego) i szereg korespondencyi z całego powiatu, zamykają w sobie obraz prawdziwie interesujący i już jako pierwszy krok wydawnictwa mogą stanowić godny naśladowania wzór dla podobnych środowisk. Stosunek pisma do zasadniczych celów narodowych jak i cały charakter pozwalają spodziewać się, że stanie się ono poważną placówką na ziemi, o którą chciano rzucać kości.

Głos ziemi Chełmskiej. Chełm. r. 1917-18.

Wydawany ongiś konspiracyjnie, jako pismo tajne, przekształcił się „Głos ziemi Chełmskiej" w ubiegłym roku na legalny już organ dzielnicy, którą stale

nawiedzają cudze apetyty. Wiele się też zmieniło w tonie i kierunku pisma, stosownie zresztą do innych już warunków, stałej przecież walki z wszelkiego rodzaju amatorami.

Był czas, że Ziemia Chełmska miała tylko Eulogiuszów, rosyjskich stupajków i petersburskie dumy przeciwko sobie, dziś narosło opiekunów i właścicieli nieco więcej i buńczuczniej bodaj nacierają, a organ tej ziemi, zgodnie z dolą polskiego ludu, musi trzymać straż baczniejszą jeszcze i być orędownikiem wszystkich tam zagrożonych. Mimo też niebywałego naporu zewsząd, rozszerzył swój horyzont i dziś jest wyrazicielem tej i tamtej strony Bugu. Z dawnych współpracowników pozostało jeszcze kilku, przybyło natomiast wielu z pośród znawców sprawy i stosunków.

Względnie pomyślniejszy okres pod względem politycznym, to jest pierwszy okres okupacyjny, mimo faktu rozdarcia terytoryalnego na dwie części, przetrwało wydawnictwo w nadziei, że jawne oświadczenia władz okupacyjnych o integralnej łączności Chełmszczyzny z Królestwem urzeczywistnią się w niedługiej przyszłości. Popieranie agitacyi importowanej nie miało zresztą obok swej jaskrawości żadnego prawie powodzenia, a sztuczność całej ukrainizacyi znajdywała żywy i dobitny wyraz w stosunku ludu do nasyłanych działaczy i ich zewnętrznych patronów. Po akcie brzeskim, gdy raczej utrwaliło się jeszcze i wzmocniło poczucie narodowe u nas, żywiołowo i fizycznie zamanifestowane, nadszedł przecież moment, gdy trzeba było uzbroić się w pełny zasób energii i cierpliwości, by godnie i skutecznie wystąpić wobec jawnego już zamachu.

„Głos ziemi Chełmnskiej" wstąpił więc w nowy okres obrony narodowej. Z kart jego przebija też pełna wiara w przyszłość, stwierdzana wzrastającem wciąż poparciem moralnem i materyalnem całego społeczeństwa dla doświadczonej losem ziemi. „Straż kresowa" i „Macierz szkolna" mają „Głosie" głównego dziś pomocnika i wyraziciela, lud chełmski swego obrońcę. „Głos" winien też znaleźć poparcie ze strony wszystkich dzielnic polskich.

* * *

„Żegluga polska". Stowarzyszenie z ograniczoną poręką. Statut. Kraków 1918.

„Morze, to jest główny gościniec na kuli ziemskiej, to jest prawdziwa arena igrzysk narodów, to jest pole zapasów siły i ducha przedsiębiorczego dla wszystkich ludów, to jest kolebka wolności! Kto niema uczestnictwa w morzu, ten jest wykluczony od dóbr i honorów świata... Naród bez żeglugi, to jest ptak bez skrzydeł, ryba bez płetew. Bandera okrętowa to jest korona na głowie narodu. Włóżmyż raz nareszcie tę koronę na skronie naszego narodu". — Tak wołał do swego narodu niemieckiego Fryderyk Liszt w r. 1843 *(Zollvereinsblatt)*. Nie znalazły z początku zrozumienia i echa jego nawoływania i dopiero w pół wieku później państwo niemieckie zaczęło się przeobrażać z kontynentalnego w kolonialne i morskie.

U nas Polsce, niestety dopiero dziś hasła tego rodzaju zaczynają znajdować zrozumienie. Szybciej od nas zrozumieli znaczenie tego problemu inni Słowianie. Dość powiedzieć, że tak niewielki naród jak Słoweńcy, w ostatnich 2 latach

wojny nie tylko przygotowali organizacyę swej własnej linii morskiej, ale co więcej — zebrali na ten cel już sporo milionów.

Żegluga, to rozszerzenie ojczyzny. Pułkownik Roja dowodzi, że każdy, minimalnych rozmiarów okręt (3000 ton) — to powiększenie ziemi ojczystej o 3000 morgów. Żegluga jest najtańszą formą komunikacyi. Bez żeglugi każde społeczeństwo jest kaleką. Kto chce być wolnym politycznie, musi być wolnym ekonomicznie. „Czyż historya nie dowodzi, że żaden naród nie został prawdziwie wielkim bez wzmożenia handlu i że z upadkiem handlu znikała też i świetność narodów“ *(Adler, Der britische Weltzollbund, 1901)*. Bez żeglugi niema wolności ekonomicznej. Żegluga jest poprostu warunkiem koniecznym życia narodu. „*Navigare necesse est, vivere non necesse*“, jak powiedział Plutarch.

Nie czekajmy końca wojny! Organizujmy swą żeglugę i handel już teraz. Oto zawiązało się w Krakowie Towarzystwo z ograniczoną poręką „*Żegluga Polska*“ (Kraków, Rynek główny 19, II). Postawiło sobie na razie za zadanie organizacyę żeglugi na Wiśle (spław węgla), ale obok tego zajmuje się propagandą idei żeglarskiej polskiej i przygotowaniem materyału dla żeglugi morskiej. Każdy Polak powinien poprzeć to Towarzystwo. Każdy udział w niem to cegiełka i czyn!

Sob.

Od Redakcyi.

Wzywamy wszystkich prenumeratorów, którzy pismo nasze otrzymują, a z prenumeratą zalegają, by ją jak najrychlej wyrównali. Nie podwyższając ceny pisma w tym stosunku, w jakim wzrasta koszt wydawnictwa, możemy oczekiwać, że przynajmniej przez regularne wpłacanie prenumeraty ułatwią nam czytelnicy nasze zadanie.

W administracyi znajduje się jeszcze ograniczona liczba roczników z roku 1917, w cenie 18 Kor.